MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK X. Nr. 12. WARSZAWA, 23 MARCA 1930 R. CENA NUMERU 80 GR.

PAŃSTWO NARODOWE

(NOWA KSIĄŻKA PROF. STANISŁAWA GRABSKIEGO)

„JEŻELI kto w XVIII w. zasługuje na to, aby nosić miano poety serca, to nie Karpiński, nie Kniaźnin, tylko jeden jedyny Staszyc"—stwierdza słusznie w swej „Historji literatury niepodległej Polski" prof. Ignacy Chrzanowski. Tembardziej w okresie obecnym, kiedy w t. zw. „literaturze pięknej" coraz powszechniej ujawnia się pustka wewnętrzna i wyjałowienie uczuć, kiedy — parafrazując słowa Stendhal'a — powiedzieć można, iż p. Goetel czy p. Kaden-Bandrowski jest w Warszawie dzisiejszej „na etacie wielkiego człowieka", wzruszenia rzeczywiście głębokie i szczere, traktowanie życia na serjo, znajdują wyraz nie w pretensjonalnych, treści pozbawionych tomikach poezyj, ani też w obliczonych na sukces rynkowy tomach powieści — ale właśnie przedewszystkiem w wybitnych dziełach literatury politycznej. Przykładem wymownym tego — ostatnia książka najbliższego może duchowo Staszycowi pisarza politycznego Polski współczesnej, prof. Stanisława Grabskiego „Państwo narodowe"[1]). Widoczne jest, że autor kładł wyłączny nacisk na myślowe wartości swojego dzieła, na siłę przekonywającą swoich syllogizmów, nie troszczył się zaś bynajmniej o jego szatę literacką, chwilami nawet nie okazując większej dbałości o zwykłą poprawność języka. A jednakże „to uczucie, co się samo w sobie chowa, jak wulkan", raz po raz „dymi przez słowa" chłodnych napozór, na ogromnej wiedzy i niezwykłej zdolności djalektycznej opartych wywodów polityka i ekonomisty.

Jak u artysty mocne natężenie uczucia przynosi z sobą zdolność spojrzenia na rzecz okiem świeżem, dostrzeżenia w niej rysów zasadniczych, a dotąd nie zauważanych, podobnie w książce prof. Stanisława Grabskiego najznamienniejszą cechą bodaj jest ujmowanie zagadnień z nowego, odmiennego niż zazwyczaj punktu widzenia, świeżość i oryginalność uwag i uogólnień, niekiedy zdumiewająco trafnych i głębokich. Oto jeden z przykładów:

„We wszystkich wojnach z Niemcami, poczynając od Chrobrego, Polska zwyciężała. Wszystko, cośmy w ciągu tysiąca lat tracili na rzecz Niemiec — traciliśmy przez przyjaźń z niemi i układy" (str. 124).

Albo:

„Kochamy nie za to, co dostajemy, ale za to, co dajemy. I dlatego zawsze rodzice więcej kochają dzieci, niż dzieci rodziców.

Im więcej daliśmy Polsce przez szereg pokoleń ofiar krwi i mienia, zawiedzionych nadziei, złamanych bohaterskich porywów, lat straconych w więzieniach, na zesłaniach, na emigracyjnych tułaczkach — tem silniejszą, tem powszechniejszą stawała się nasza miłość Ojczyzny" (str. 112).

Punktem wyjścia rozważań prof. Grabskiego jest wiara w Polskę, potężna ambicja narodowa, ów „ambit polski", w którym z największą słusznością dostrzega główne źródło siły psychicznej, co pozwoliła narodowi polskiemu wydobyć się z wieloletniej niewoli i ocaliła Polskę w latach 1918 — 20 przed komunistycznym rozstrojem. Tą wiarą w przyszłość napełnia autora zarówno przeszłość narodu, jak i objawy jego żywotności w chwili obecnej:

„Naród składający się z rodzin, żyjących nie dniem bieżącym, lecz przyszłością swych dzieci, a jednocześnie nie ograniczających ich ilości, jeno w miarę, jak je Bóg daje, wzmagających swą pracę i oszczędność—to naród dążący do wielkości.

Takim narodem były Niemcy po wojnach napoleońskich. Takim narodem jest dziś Polska" (str. 126).

Dlatego też nie waha się prof. Grabski głosić wielkiego programu mocarstwowej ekspansji Rzeczypospolitej:

„Nie mamy żadnej dobrej racji, gdy Niemcy mówią, iż korytarz pomorski jest nonsensem, twierdzić, że jest on doskonały.

---

[1]) Lwów, 1929. Str. 178.

Jest on istotnie nonsensem, bo jest za wąski, zbyt trudny do obrony przed atakiem niemieckim, bo daje on nam zbyt ciasny dostęp do morza, nadmiernie utrudniający rozwinięcie floty handlowej, odpowiadającej potrzebom naszego ekonomicznego postępu.

I nie mamy żadnej dobrej racji, gdy Niemcy mówią, że granica obecna na Górnym Śląsku jest nienaturalna, twierdzić, że jest ona odpowiednia. Jest ona rzeczywiście nienaturalna, Śląsk bowiem po Odrę jest krajem o niewątpliwej etnograficznej przewadze polskiej“ (str. 123—124).

To dążenie zaś do ekspansji politycznej łączy prof. Grabski ściśle z programem „przemysłowo-handlowej naszej ekspansji na rynkach światowych“, opartym na połączeniu z wielką ambicją narodową „wielkiej również ambicji zawodowej“:

„Gdy narówni z naszymi jeźdźcami, hokeistami, biegaczami, atletami i atletkami — zrozumieją nasi chemicy, mechanicy, górnicy, kupcy, że nakazem ich honoru polskiego jest, by ich „wyczyny“ techniczne, organizacyjne i handlowe nie stały niżej od odnośnych „wyczynów“ niemieckich, angielskich, francuskich... uzyszczemy trwałą przewagę wywozu nad przywozem towarów i zdobędziemy własną pracą i oszczędnością kapitały wielokrokrotnie większe od tych, jakie dostarczyć by nam mogła międzynarodowa finansjera, zainteresowana naprawdę w naszej gospodarczej bierności, a nie w postępie naszego przemysłu“ (str. 143 — 144).

*

Poczucie ambicji narodowej, śmiałość i oryginalność pomysłów, musiały—rzecz jasna—zaznaczyć się także w ujęciu przez prof. Grabskiego zagadnienia, któremu przedewszystkiem książka o „Państwie narodowem“ została poświęcona, mianowicie zagadnienia przebudowy ustroju państwowego Rzplitej. Poniższy skrót stanowić może próbę najzwięźlejszego, częściowego chociażby streszczenia najbardziej zasadniczych poglądów autora na tę sprawę.

Państwo—stwierdza prof. Grabski—jest organizacją, normującą przymusowo współżycie ludności kraju oraz jej stosunek do innych ludów i narodów, odpowiednio do celów władcy danego kraju. Ustrój państwa jest zatem dobry, jeżeli najściślej dostosowany jest do swoich zadań, jeżeli najskuteczniej ułatwia władcy kraju urzeczywistnienie najważniejszych jego dążeń.

Rozwój historyczny Europy doprowadził do tego, że władcami wszystkich państw europejskich (także i polskiego) stały się w obecnym okresie dziejowym odnośne narody. Rozwój ten doprowadził równocześnie do oparcia ustroju państw europejskich na zasadach demokracji, wobec czego do udziału w ustanawianiu praw i organizacji władz państwowych powołana została cała ich ludność. Jednakowoż „ogół ludności“ nie jest równoznaczny z narodem, nawet w państwach najzupełniej pod względem etnicznym jednolitych, i w których uświadomienie narodowe obywateli jest zjawiskiem powszechnem. Ogół ludności, to żyjące w danym momencie dziejowym jej generacje. Naród to duchowa jedność przeszłych, obecnych i przyszłych pokoleń. To też typ ustroju demokratyczny nie zawiera w sobie prawnego zabezpieczenia trwałych, historycznych dążeń i mocarstwowych zadań narodu przed przejściowemi, egoistycznemi interesami i uroszczeniami poszczególnych jego warstw— w danem, poszczególnem pokoleniu.

Świadomość narodowa we wszystkich europejskich narodach była dostatecznie silna, ażeby zapewnić przed wojną światową kompromisy pomiędzy poszczególnemi warstwami społecznemi co do podziału nieustannego wówczas przyrostu powszechnego bogactwa. Okazała się atoli zbyt słaba, kiedy po wojnie wzrosły w ogromnej mierze ciężary, jakie musiała wziąć na siebie obecna generacja dla uchronienia od nędzy przyszłych pokoleń. Stąd dzisiejszy kryzys ustroju demokratyczno-parlamentarnego w Europie, silniejszych zaburzeń nie wywołujący jedynie w życiu wewnętrznem krajów, posiadających najwyższe, zdawna we wszystkich warstwach społecznych ustalone poczucie odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny, albo najmniej dotkniętych zniszczeniem wojennem.

Na tle takiej oceny położenia ogólno-europejskiego formułuje prof. Stanisław Grabski konkretne wnioski, dotyczące przebudowy ustroju Polski, rozumiejąc, iż „niema jednej jakiejś najlepszej... formy państwowej“ dla wszystkich wogóle czasów i ludów, ale każda przystosowana być powinna do określonych warunków, potrzeb i celów cywilizacyjnego życia narodu w danej epoce jego dziejów. Pośród tych konkretnych propozycyj właśnie, obok niewątpliwie słusznych i praktycznych (np. dożywotni wybór Prezydenta Rzplitej), niektóre wywoływać mogą — i wywołały — uzasadnione często zastrzeżenia [2]).

Przesłankami wniosków prof. Grabskiego są trafne najzupełniej stwierdzenia, że patrjotyzm i poczucie odpowiedzialności za przyszłość Ojczyzny żywe są we wszystkich bez wyjątku warstwach społecznych w narodzie polskim, że natomiast liczna jest w Państwie Polskiem ludność obcoplemienna i obcojęzyczna, bynajmniej z dziejowemi dążeniami narodu polskiego duchowo nie zespolona. W tych warunkach zaleca prof. Grabski ustrój republikański, dwuizbowy, gdzie Prezydenta Rzplitej oraz Izbę wyższą, do której wyłącznej kompetencji należałyby sprawy potęgi mocarstwowej i historycznej przyszłości narodu (sprawy polityki zagranicznej, wojskowe, organizacji władz administracyjnych i samorządów, wychowania narodowego, stosunku Kościoła do Państwa), wybierałby wyłącznie naród polski. Izbę Niższą, decydującą o sprawach bieżącego życia ludności, wybierałaby cała ludność Rzplitej. W okręgach wszelako, w których przy spisie ludności, połowa jej lub więcej podałaby narodowość niepolską, oddzielnie głosowałaby ludność polska, oddzielnie niepolska w dwóch odrębnych kołach, przyczem niezależnie od stosunku liczebnego ludności polskiej do niepolskiej, każde koło wybierałoby jednego posła. W podobny sposób zabezpieczona byłaby przewaga żywiołu polskiego w samorządach miejskich i wiejskich, w myśl zasady ogólnej, że „naród suwerenny nie może być nigdzie w swem własnem państwie mniejszością“. Zaś przynależność do narodu polskiego określa prof. Grabski w sposób następujący:

„Do narodu polskiego należą ci obywatele Rzplitej, którzy się sami doń zaliczają przy spisach ludności, bez względu na swe wyznanie i język domowy, oświadczają się za polskim językiem w szkołach, biorą udział w polskich stowarzyszeniach, związkach, spółkach“ (str. 175).

Otóż te konkretne propozycje prof. Grabskiego budzą daleko posunięte wątpliwości. Uzasadnia-

---

[2]) Por. prof. Zygmunta Wojciechowskiego „Państwo narodowe, kurje narodowościowe, autonomizm i federalizm“ („Awangarda“ nr. 1 — 2, r. 1930, str. 14 — 16) oraz Jana Mosdorfa: „Nowa książka prof. St. Grabskiego“ („Gaz. Warsz.“ nr. 62 z dn. 1. III. 1930 r.).

jąc swoje stanowisko, autor „Państwa narodowego“ pisze wprawdzie:

„Podpisaliśmy w Wersalu traktat, zapewniający prawa mniejszości narodowych.

Ale jeśli istnieją w państwie prawa mniejszości narodowych, uważających się jedynie za mieszkańców kraju... — to w takim razie najprostszym nakazem sprawiedliwości i zdrowego rozsądku jest, by istniało również zagwarantowane konstytucją narodowi suwerennemu prawo większości“ (str. 159 — 160).

Z tego jednak, że—wbrew woli naszej — zmuszeni byliśmy podpisać w Wersalu narzucony nam traktat o „mniejszościach“, nie wynika bynajmniej logiczny wniosek, ażeby ten fakt właśnie wziąć za podstawę przy opracowywaniu planu zasadniczej przebudowy naszego ustroju państwowego. Zaś w założeniach projektu prof. Stanisława Grabskiego zawarty jest, z Układu Wersalskiego przejęty [3]), nie odpowiadający rzeczywistym stosunkom podział obywateli Państwa Polskiego na „większość“ polską i traktowane jakgdyby jedna całość—„mniejszości“. Zgóry można było przypuścić, że nie powiedzie się próba ogólnej, algebraicznej niejako formuły rozwiązania problematu „mniejszości“, zastosowanej jednakowo przy zagadnieniach tak w samej istocie swojej odmiennych, jak sprawy polityki wobec ludności ruskiej, białoruskiej, niemieckiej, żydowskiej. Nie byłoby ani sprawiedliwe, ani celowe jednakowe odnoszenie się do ludności, obcej nam całym swoim typem psychicznym, najgłębszemi instynktami moralnemi, tradycjami i pojęciami, ludności, którą chcemy od społeczeństwa polskiego izolować, by nie wnosiła do naszej cywilizacji narodowej pierwiastków rozkładu,—i do ludności, pokrewnej nam rasą, językiem, obyczajem, ludności, którą z narodem polskim jaknajściślej pragniemy zespolić, wyrywając ją z pod zbrodniczego wpływu separatystycznej agitacji. Wytwarzając np. między Polakiem a białorusinem barjerę prawną w postaci odrębnego koła wyborczego, utrudniając rusinom czy białorusinom głosowanie na kandydatów polskich, do których żywiliby osobiste zaufanie (fakty aż do ostatnich czasów bynajmniej nie wyjątkowe) — nie zabezpiecza równocześnie projekt prof. Grabskiego (wobec przytoczonego powyżej sformułowania pojęcia przynależności do narodu polskiego) przed wpływem żydów nawet na rozstrzyganie spraw „potęgi mocarstwowej i historycznej przyszłości narodu“ w Izbie Wyższej oraz na wybór Prezydenta Rzplitej. Co więcej, program ten sprzyja kultywowaniu typu żyda najniebezpieczniejszego, wdzierającego się wgłąb społeczeństwa polskiego, „bez względu na swe wyznanie i język domowy“ biorącego udział „w polskich stowarzyszeniach, związkach, spółkach“...

Trudno też obiecywać sobie wiele, jeśli chodzi o wartość działania asymilacyjnego projektowanych urządzeń, na którą liczy prof. Grabski, pisząc:

„Na cóż ma ktokolwiek brać na siebie wielki obowiązek troski o Polskę, jeśli nie zwiększy to ani o odrobinę praw jego w Polsce.

„Niezbędnym warunkiem asymilacji państwowej niepolskiej dziś ludności kresowej jest, by zwiększonemu wskutek asymilacji tej poczuciu obowiązków obywatelskich wobec państwa, odpowiadały zwiększone wskutek niej też prawa polityczne w państwie“ (str. 163).

Wykonywanie praw politycznych jest w treści swojej raczej obowiązkiem niż przywilejem, celem ich jest dobro zbiorowości, nie zaś jednostki, wobec czego cenić wartość ich mogą jedynie ludzie, albo już poczuwający się do wspólnoty duchowej z narodem i moralnej odpowiedzialności za jego losy, albo też usiłujący wyzyskać posiadane uprawnienia dla urzeczywistnienia dążeń, obcych interesowi narodowemu, czy też nawet mu wrogich. Wątpliwe wydaje się bardzo, żeby dla tych, których nie zasymiluje wyższość cywilizacji polskiej i jej urok, siłę przyciągającą stanowić miała... perspektywa zdobycia w ten sposób prawa głosowania w wyborach do Izby Wyższej.

Jest natomiast w projekcie prof. Grabskiego jedna jeszcze strona, budząca niemałe zaniepokojenie. Wprowadza on konstytucyjne niejako uprawnienie ludności, którą pragniemy asymilować, do swobodnego wyboru pomiędzy rolą w pełni za byt i siłę mocarstwową państwa odpowiedzialnego obywatela, albo rolą obojętnego na te zagadnienia „mieszkańca“. Człowiek tymczasem nie wybiera sobie w sposób dowolny — według gustu — społeczności, do której postanawia należeć, stosunek do niej musi kształtować się w jego sumieniu w formie nakazu etycznego, którego przekroczenie jest winą. W nierachowaniu się z tym podstawowym faktem tkwi jedna z głównych przyczyn głęboko demoralizującego wpływu, jaki wywiera, z liberalnej ideologji poczęty — system regulowania kwestyj granic państwowych na podstawie plebiscytów. Konstytucja państwa wychowywać powinna ludność, którą chce asymilować nie izolować, w poczuciu nieodpartego nakazu moralnego służby dla Ojczyzny, nie zaś w poczuciu możności dowolnego zupełnie wyboru, możności zapisywania się do kategoryj mniej albo więcej za przyszłość Państwa odpowiedzialnych obywateli, niczem członków „rzeczywistych“ albo „wspierających“ w jakiemś stowarzyszeniu. Znaczenie tego argumentu wychowawczego weźmie, być może, pod uwagę prof. Stanisław Grabski, który tak pięknie, tak głęboko i suggestywnie zarazem potrafił pisać w „Państwie narodowem“ o „obowiązku miłości“.

Wszystkie jednak zastrzeżenia i wątpliwości, jakie poszczególne praktyczne wnioski prof. Grabskiego mogłyby wywoływać, ani na chwilę nie powinny przesłaniać wyjątkowej, nie dającej się pomniejszyć ani zaprzeczyć wartości najnowszego jego dzieła. Olbrzymia wiedza, głębia i odwaga myśli twórczej, trafność sądów, staszycowska iście żarliwość patrjotycznego uczucia — zapewniają „Państwu narodowemu“ w historji naszej literatury politycznej miejsce poczesne i trwałe. Ostatnią książką swoją, tak samo jak dziełami poprzedniemi, prof. Stanisław Grabski — uczy, zapładnia, pobudza do myślenia. Kształcą się, i kształcić się będą na niej coraz nowe zastępy narodowców. Nawet wówczas, gdy tezy jego mogą wywoływać sprzeciwy, pozostaje wychowawcą, pomagającym „wchodzącemu dziś w życie nasze pokoleniu“ do ustalenia podstawowych jego idej i poglądów.

JAN REMBIELIŃSKI

[3]) Por. art. 8, 9 i 12 Traktatu między głównemi mocarstwami sprzymierzonemi i stowarzyszonemi a Polską z dnia 28 czerwca 1919 r.

HILARY BELLOC

Z DWÓCH wielkich pisarzy katolickich Anglji współczesnej Chesterton jest u nas dość dobrze znany z przekładów (choć pożal się Boże, jakich!), artykułów, wreszcie z ogłoszonego niedawno obszernego studjum p. Borowego. O Belloc'u cicho. A przecież zasługuje on na uwagę i jako głęboki myśliciel, i jako świetny beletrysta, i jako szczery przyjaciel Polski. A jednak bytność jego w naszym kraju mało komu była wiadoma, dzieła jego znane są jedynie szczupłej grupce ludzi, zajmujących się literaturą angielską. Czas już, aby to uległo zmianie, i można mieć nadzieję, że rzeczywiście tak będzie. W chwili, kiedy to piszę, wychodzi w „Lwowskim Kurjerze Porannym" pierwsze tłumaczenie, a równocześnie prof. Tretiak przygotowuje szkic o autorze. Zanim ukaże się ta, o ile mi wiadomo, szerzej zakrojona praca, pragnę zawrzeć w krótkim artykule najcharakterystyczniejsze cechy i najważniejsze momenty działalności Belloc'a.

Gdy w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia — urodził się w r. 1870 — stawiał pierwsze kroki, księga twórczości wiktorjańskiej była już zamknięta. Tendencja moralna, wiara w Boga i ludzi, przeświadczenie o celowości wszystkiego na świecie, wychodziły szybko z mody. Wilde głosił hasło sztuki dla sztuki; Moore i Gissing naśladowali francuskich naturalistów; zanim Kipling stał się piewcą imperjalizmu i brutalnej siły, dawał zaprawne pesymizmem realistyczne obrazki z życia; Hardy kończył swą powieściową działalność potężnemi akordami niewiary, aby wnet przejść do ich powtarzania w formie poetyckiej; Conrad zaczynał rozwijać swe piękne, ale posępne malowidła życia egzotycznego; mocny w satyrze, ale słaby w koncepcjach pozytywnych, Shaw w pierwszych swych komedjach odsłaniał oblicze genjalnego kpiarza. Słowem nad literaturą unosił się duch Samuela Butlera, który w swej utopijnej powieści rozpoczął z wielkim talentem burzenie pewników, będących podstawą myślenia współczesnego Anglika.

Twórczość Belloc'a należy do objawów reakcji na tego ducha negacji, sceptycyzmu i pesymizmu. Zaczął on od pisanych niby od niechcenia drobnostek, od wierszyków dla dzieci, a może nie dla dzieci, od pieśni pijackich, bluetek i ulotnych kartek z podróży. Ale już tu odzwierciedlały się cechy, nadające wszystkiemu, co wyszło z pod jego pióra, odrębny charakter. O ile idzie o stronę zewnętrzną, były to dowcip, dbałość o wykwintne wysłowienie, jasność, subtelność i prostota, rysy, które Belloc zawdzięcza zapewne płynącej w swych żyłach krwi romańskiej — warto zaznaczyć, że używa imienia w formie francuskiej (Hilaire), nie w angielskiej (Hilary).

Wnet też odsłoniły się przed czytelnikami wewnętrzne cechy twórczości Belloc'a — szczere przywiązanie do Kościoła katolickiego, zmysł historyczny, umiłowanie tradycji i zdrowy demokratyzm, odwracający się ze wstrętem zarówno od wszechwładzy międzynarodowego kapitału, jak od mrzonek kolektywistycznych czy komunistycznych.

Wnet okazał się Belloc świetnym satyrykiem — ale jakże odmiennym od Shaw'a lub od starszego wiekiem, młodszego w literaturze Galsworthy'ego. Satyra autora „Żydów" ma zawsze podkład pozytywny. Czuje się wybornie, że szydzi on nie dla złośliwej igraszki, nie dla lekkomyślnego burzenia, ale dlatego, że chciałby na miejscu tego, co potępia jako chorobliwe i szkodliwe, ujrzeć objawy zdrowe i zbawienne. Nigdy też nie daje się porwać szałowi wyśmiewania, ma przed oczyma wyraźnie zakreśloną granicę, której nie przekracza, bo za nią są rzeczy poważne i święte. Zachowuje też stale umiar artystyczny. Jego chłodna, intelektualna ironja, nigdy nie sięgająca po jaskrawe barwy, przypomina szermierkę Wołodyjowskiego — ruch szabli ledwie dostrzegalny, a cięcie zabija. Większe to robi wrażenie, niż hałaśliwy sarkazm, podkreślający z ostentacją każdy obraz i każde wypowiedziane słowo. Belloc chętnie używa groteski, ale ogranicza się do treści. Forma pozostaje zawsze dyskretna, a na twarzy autora widnieje wiecznie ten sam pół-uśmiech człowieka, który dobrze przemyślał życie, zanim wziął się do jego malowania — pastelami, choć w karykaturze.

Szerokie koła publiczności zdobył Belloc opisami podróży, przedewszystkiem wciąż przedrukowywaną „Ścieżką do Rzymu". Naogół jednak nie jest zbyt popularny. I nic w tem dziwnego. Jego sposób pisania przemawia raczej do wybranych, niż do mas, poglądy zaś przeciwstawiają się ostro modnym poglądom, zakorzenionym z niewielką korzyścią dla Anglji w powiktorjańskiem pokoleniu. Belloc prowokuje sceptyków, wołając o wiarę, a protestantów, widząc tę wiarę w katolicyzmie. W dobie niesłychanego rozpowszechnienia się gazet, tanich i świetnych pod względem technicznym, a intelektualnie bezwartościowych i moralnie szkodliwych, piętnuje ich wpływ i odsłania ich zakulisowe machinacje. Na widok cudów cywilizacji materjalnej wyraża tęsknotę za średniowieczem. Zasuggestjonowanym zewnętrzną wspaniałością Anglji próbuje otwierać oczy na niebezpieczeństwa, idące w parze z jej rozrostem, i na rysy, dostrzegalne na olbrzymim gmachu, więc na rzeczy, o których przyjemniej nie wiedzieć. Potępia i kapitalizm i socjalizm, wywołując po obu stronach niechętne wzruszanie ramionami. Pacyfistom prawi o żołnierskiem bohaterstwie i o strategji, na której zna się, jak na laika, doskonale. Zwolennikom ideologji wszechludzkiej głosi nacjonalizm. Żydom powtarza wciąż — zresztą bez nienawiści i pogardy, — że są żydami. Unika ulubionych dziś tematów seksualnych. Ale przedewszystkiem pośród społeczeństwa, które — z mniejszą lub większą świadomością — kształtuje swe pojęcia na podstawie nauk ścisłych i filozofji materjalistycznej, a tym sposobem odcina się, czy raczej usiłuje odciąć od przeszłości, reprezentuje typowo humanistyczny i historyczny sposób myślenia.

Ten jego zmysł historyczny wydał już cały szereg utworów. Pociągały Belloc'a naprzód zwłaszcza dzieje Francji podczas Wielkiej Rewolucji i poświęcił im szereg studjów („Danton", „Robespierre", „Marja Antonina" i „Rewolucja francuska", rodzaj krótkiego *resumé* poglądów). Autor podkreśla zależność wypadków paryskich od zawikłań międzynarodowych i od działań wojennych, przez co sil-

nie uwydatnia w rewolucji pierwiastek nacjonalistyczny. Deklaruje się równocześnie jako zwolennik idej rewolucyjnych i jako katolik. Twierdzi i usiłuje udowodnić, że między zasadami, z których wyrosła rewolucja, a religją katolicką nie było sprzeczności, a konflikt wyniknął z nieporozumienia między temi dwiema wielkiemi siłami i z charakteru osób, które je reprezentowały. Wypowiada przy tej sposobności następujące zdanie:

„Jeżeli... jest prawdą, . że istnieje zasadnicze duchowe przeciwieństwo między rewolucją a Kościołem katolickim, to czas przyniesie dowody. Będziemy w tym wypadku patrzyli na ustawiczne rozszerzanie się konfliktu, aż rewolucja stanie się głównie siłą, dążącą do zniszczenia katolicyzmu, a Kościół katolicki będzie zwolennikowi rewolucji zdawał się nie głównym, ale jedynym wrogiem. Do takiego rozwoju sprawa nie doszła w ciągu stu lat; tylko znacznie dłuższy okres czasu pozwoli osądzić, czy rzekomy pojedynek jest rzeczywistością, czy fantazją".

Lekka wątpliwość, dźwięcząca w tych wyrazach, rosła widocznie, gdyż Belloc nigdy nie powtórzył już tego poglądu, wypowiedzianego w r. 1911. I nie trzeba było zbyt długiego okresu czasu, aby go przekonać, że się mylił. To też im wyraźniej zdawał sobie z tego sprawę, tem szybciej postępowała ewolucja jego poglądów i ze zwolennika rządów reprezentacyjnych zmieniał się w zwolennika silnej władzy monarszej.

Widać to doskonale w jego pracach z zakresu historji angielskiej, powstałych już po wojnie. Historja ta, dzięki dwom wielkim pisarzom XIX w., Macaulay'owi i Carlyle'owi, oraz ich satelitom, oświetlana była długo z pewnych szczególnych punktów widzenia. Belloc schodzi się z paru najnowszymi historykami, którzy przeprowadzają rewizję rzeczy, długo uważanych za pewniki.

W owej „Historji Anglji", której ogłoszone dotąd trzy tomy dochodzą do przedednia reformacji, odrzuca on teorję o przewadze pierwiastków germańskich w kształtowaniu się społecznej i kulturalnej więzi narodu i państwa, a kładzie nacisk na wpływ cywilizacji łacińskiej i rolę Kościoła katolickiego. Dalej odrzuca też, a nawet zwalcza przyjmowany zazwyczaj schemat konsekwentnego rozwoju swobód konstytucyjnych od *Magna Charta* Jana Bez Ziemi (1215), aż po dzisiejszą czteroprzymiotnikową (bez proporcjonalności) ustawę wyborczą. Tak np. idealizowana przez historyków postać Szymona de Montfort, który na synu Jana, Henryku III, wymusił stworzenie Izby Gmin, przedstawia się Belloc'owi, jako powszechny w czasach feodalnych typ ambitnego, a niesfornego magnata, nie mającego przed oczyma celów donioślejszych nad własną korzyść. Natomiast dodatnio wychodzą postaci energicznych królów, którzy usiłowali rządzić samoistnie. Belloc stara się zrehabilitować ich pamięć przez odrzucenie faktów, podanych przez nieprzychylnie usposobionych kronikarzy. Być może, iż jest w jego poglądach nieco przesady, lecz akcja zawsze równa się reakcji, a w historjografji angielskiej rzeczywiście dużo było liberalnego stylizowania ludzi i wypadków. Okres reformacji znów roi się od zmyśleń fanatyków protestanckich którzy takie postaci, jak np. służalczy i chwiejny arcybiskup Cranmer, stroili w nieugiętą cnotę, a oczerniali obrońców katolicyzmu, choćby tak szlachetnych, jak Sir Tomasz More. Przedsmak traktowania tych czasów w „Historji" Belloc'a daje ogłoszona jako szkic do nich książka o wprowadzeniu protestantyzmu w Anglji, należycie podkreślająca czynnik, który niewątpliwie zadecydował, — chciwość Henryka VIII i szlachty na dobra kościelne.

Społeczne poglądy Belloc'a najlepiej odbijają się w wydanem w r. 1913 „Państwie niewolniczem". Uważa on własność indywidualną za podstawę wolności jednostki. Z tego powodu nie widzi zasadniczej różnicy między kapitalizmem w dzisiejszej formie a socjalizmem. Jeden i drugi zmierza wprost do wyzucia jednostki z własności i uczynienia z niej niewolnika. Człowiekowi, mającemu jedyne oparcie w pracy, jest wszystko jedno, czy chlebodawcą jego będzie jakiś koncern, czy wszechwładne państwo, zwykle zresztą z nim identyczne. Warunki bytu takiego człowieka mogą być znośne, ale w każdym razie będzie on skazany na ślepe posłuszeństwo i wciąż zagrożony nędzą, nawet śmiercią głodową. Państwo niewolnicze już weszło w życie. Dowodem regulowanie płac przez rządy, lub przez specjalne stworzone komisje, przymusowy arbitraż, przymusowe ubezpieczenia i wogóle szerzenie się etatyzmu, który pod pozorem socjalizacji środków produkcji „już zwiększył i stale zwiększa zależność społeczeństwa od kapitalisty". Jak widzieliśmy, rzeczywistość przekreśliła teorje Belloc'a na temat stosunku między skrajną demokracją a religją. Co do poglądów, wypowiedzianych w „Państwie niewolniczem" przyznała mu słuszność, której widomym znakiem jest fakt, że ogłosił on w r. 1927 drugie wydanie tej książki—z dodatkową przedmową, lecz pozatem w niezmienionem brzmieniu.

Naturalnie, choć Belloc mówi o nowoczesnem niewolnictwie tonem spokojnym i takimże tonem stwierdza, że pierwsze kroki w tym kierunku już są poczynione, ma przed oczyma inny ideał, ideał wolności osobistej, opartej na indywidualnem władaniu ziemią i warsztatami pracy. Stąd wraz ze swym przyjacielem Chestertonem założyli Ligę Dystrybutystów. Nie bierze ona na razie udziału w życiu politycznem, lecz szerzy owe idee przy pomocy zebrań, dyskusyj i gazet. Nawiązując do tradycji ekonomisty samouka z pocz. XIX w., Cobbetta, nawołują dystrybutyści do wskrzeszenia rolnictwa, przeciw olbrzymim fabrykom i magazynom w stylu amerykańskim wysuwają drobne warsztaty i sklepy, a organizację społeczeństwa pragną oprzeć na religji i rodzinie. Przeciwstawiają się imperjalizmowi, radziby powrócić do dawniejszych stosunków. Uważają parlament za teren intryg kapitalistycznych i korupcji (dlatego też nie usiłują wejść do niego), a zbawienie widzą w przywróceniu władzy korony. Dotąd nie wywierają większego wpływu.

Długie lata studjów poświęcił Belloc kwestji żydowskiej. Najlepiej świadczy o tem fakt, że w ogłoszonej w r. 1909 powieści „Zmiana w gabinecie" wprowadził siebie samego w epizodycznej postaci badacza tej kwestji, mieszkającego w cichej miejscowości nadmorskiej i obłożonego stosami książek, potrzebnych do jej zgłębienia. Dzieło „Żydzi" wyszło aż w. r. 1922 i rzeczywiście wykazuje gruntowną znajomość przedmiotu, co dobrze widać np. ze wzmianek o stosunkach polskich. Autor nie jest zwolennikiem asymilacji, gdyż nie wierzy w jej możliwość. Cytuje zdanie Disraelego, że niższa rasa nigdy nie zasymiluje wyższej, — nie dlatego, aby uznawał wyższość żydowską, ale na dowód, że poczucie tej wyższości u żydów istnieje

i uniemożliwia ich absorbcję przez społeczeństwa aryjskie:

„Żyd z londyńskiego *East End*, nędzarz nad nędzarze, czuje się czemś lepszem od urzędnika, przed którym go stawiają, od policjanta, który utrzymuje porządek na ulicy, a czemś nieskończenie lepszem od żołnierzy i marynarzy o prostodusznem spojrzeniu, których zawód jest typowym dla naszej rasy. Czuje się nawet nieskończenie wyższym od tych, których lepiej rozumie, od ludzi, zajmujących się interesami".

Ale to nie jedyna „przyczyna tarcia" po stronie żydowskiej. W związku z poczuciem wyższości są dalsze:

„Żyd gotów jest pisać o naszej religji, przyjmując jako pewnik, że jest ona nonsensem, i dziwić się, że się obrażamy. Gotów występować w naszych dyskusjach o sprawach narodowych... i doznawać osłupienia, odkrywszy, że jego obojętność na uczucia narodowe działa drażniąco".

Równie ostro mówi Belloc o żydowskiem zamiłowaniu do anonimowości. Prawda, że powstało ono na tle prześladowania, ale i tak jest oburzające. Dalej działają na niekorzyść żydów winyich dwóch odłamów: wielkich kapitalistów i bolszewików. Belloc odrzuca tezę, jakoby żydzi byli naogół narodem bogatym. Niewątpliwie jednak rekrutują się z pośród nich międzynarodowi magnaci kapitału, narzucający światu monopole (np. sceniczny, owocowy, tytoniowy — istniejący tam, gdzie niema państwowego, ale działający wszędzie, — metalowy, w swoim rodzaju najgroźniejszy, i finansowy t. j. dziś ogólnie ekonomiczny). Działają tu drobne grupki ludzi, które Belloc nazywa poprostu zbrodniczemi, wyrażając obawę, że zapłaci za nie Izrael jako całość. Bolszewizm uważa za ruch czysto żydowski, gdyż począł się z umysłowości żydowskiej, niezdolnej pogodzić się z pojęciem własności w europejsko-aryjskiem znaczeniu. Zaznacza ostre przeciwieństwo między nim a rewolucją francuską:

„Ruchy społeczne były zazwyczaj szowinistyczne i zawsze dążyły do podziału dóbr materjalnych".

Tymczasem rewolucja rosyjska odrzuca (względnie odrzucała w swej pierwszej fazie, o której pisał Belloc) i patrjotyzm i podział własności. Tem różni się od wszystkich innych i jest widocznie typowo żydowską. Żyd z powodu *spersis* ma poczucie narodowości odmienne od naszego, sofizmaty rewolucyjne na temat szkodliwości nacjonalizmu dla rozwoju ludzkości mają dla niego realną wartość, gdyż „Anglja", „Francja", „Polska", „Irlandja" nie są mu potrzebne i przedstawiają mu się, jako chimery. Widzi tylko jednostkę, gdyż nie może wątpić o jej istnieniu. Uboczną zaś przyczyną bolszewizmu była i nienawiść żydów do Rosji.

Z drugiej strony zestawia Belloc dodatnie strony charakteru żydowskiego, a więc dary intelektualne, których żyd umie używać na zimno i skupiać w jednym kierunku, podczas gdy my swoich przeważnie używamy w podnieceniu i wytężamy w kilku kierunkach, wytrwałość, wstrzemięźliwość i t. d. Lecz każda wada i zaleta przybiera u żyda specjalną formę żydowską, dla nas często niezrozumiałą. Wogóle dużo jest nieporozumień. Mówi się, że żydzi są zdrajcami, przytaczając na dowód, że przed wojną światową i w czasie wojny mnóstwo ich było szpiegami po obu stronach. Kwalifikowali się do tej roli dzięki znajomości języków i terenów, częstym podróżom oraz stosunkom po całym świecie. Wynajmowali się więc nieżydowskiem państwom i grupom, lecz nie zdradzali Izraela.

Brak tu miejsca na przytoczenie więcej myśli z głębokiej książki Belloc'a [1]), ograniczę się więc już tylko do jego praktycznych wniosków. Żydzi są w społeczeństwach europejskich ciałem obcem. Trzeba na to zaradzić. Są dwa sposoby—usunięcie lub oddzielenie. Pierwsze mogłoby polegać na zniszczeniu, wypędzeniu lub zaabsorbowaniu, drugie może być wrogie lub przyjazne. Tylko ta ostatnia ewentualność (oddzielenie przyjazne) powinna być zarazem dążeniem, gdyż inne są albo nieetyczne, albo nieosiągalne.

Można więc Belloc'a określić, jako asemitę. Ale nie objawia on zbytniej wiary w wykonalność owego przyjaznego oddzielenia i, kończąc książkę słowami „Pokój Izraelowi", mocno je modyfikuje dodatkiem „Co do mnie"... „Żydzi" wywołali ostre ataki na autora ze strony żydów i sympatyzujących z nimi literatów, między innemi ze strony znanego katolikofoba i wyznawcy wszelkich brytyjskich uprzedzeń, dziekana Inge'a.

Powieści Belloc'a urodziły się wszystkie z jego studjów społecznych i mają charakter satyryczny, a ostrze satyry zwraca się głównie przeciw nieuczciwym praktykom kapitalistycznym. Bohaterem „Emanuela Burden" jest uczciwy, nieco tępy kupiec angielski starej daty, którego grupa spekulantów wciąga w typowo oszukańcze przedsiębiorstwo, aby posłużyć się jego nazwiskiem do wabienia ofiar. Belloc używa tu po mistrzowsku stworzonej niegdyś przez Marję Edgeworth (a u nas zastosowanej w „Podfilipskim") formy opowiadania osoby, która nie orjentuje się w moralnej stronie wypadków i w charakterach osób. W dalszych utworach łączą się ściśle motywy spekulacji i polityki — zupełnie tak, jak w dzisiejszem życiu angielskiem. Tytuł „Wyboru p. Chitterbucka" mówi za siebie.

„Zmiana w gabinecie" wybija się obok „Łaski Allaha" na czoło beletrystycznej twórczości Belloc'a. Akcja polega tu głównie na groteskowej chorobie, zmyślonej przez autora, dzięki której bohater, będący kapitalistą i czynnym politykiem, zaczyna w każdych okolicznościach mówić prawdę, postaci są karykaturami, ale mimo całej przzsady niepodobna nie przyznać, że punktem wyjścia jest rzeczywistość. Wykonanie stoi na bardzo wysokim poziomie artystycznym.

Dalsze powieści nie osiągają naogół tej doskonałości, gdyż żadna nie ma tak świetnie obmyślonej akcji, ale stanowią, jak „Dom, w którym straszy", galerję wybornych karykatur — w tym wypadku są to postaci trzech lordów. Dwóch należy do nowego typu arystokracji, amerykańskiej i angielsko-małomieszczańskiej prowenjencji. Trzeci pochodzi ze starszej, choć niebardzo starej rodziny. Jako człowiek niezamożny zrobił karjerę uniwersytecką i jako profesor psychologji w czasie wojny tak świetnie odczytywał myśli niemieckich wodzów, że otrzymał za to po zwycięstwie od wdzięcznej ojczyzny dwadzieścia tysięcy funtów. Nie odczytawszy widać myśli niemieckich finansistów,

[1]) Ciekawy może znaleźć więcej szczegółów w mojej książce „Z Anglji współczesnej" (Lwów, Ossolineum, 1927), gdzie jeden szkic poświęcony jest Belloc'owi, drugi prawie w całości „Żydom".

umieścił te pieniądze w niemieckiej pożyczce pokojowej i wskutek dewalucji marki otrzymał za nie stos obligacyj — łącznej wartości sześciu pensów, więc zarabia niedyskretnemi notatkami, umieszczanemi w gazetach i stąd węszy wciąż po domach wyższego towarzystwa za skandalami.

Osobne miejsce zajmuje „Łaska Allaha", gdyż łączy się zarówno z „Państwem niewolniczem", jak „Żydami", za których ilustrację poprostu uważa ją niemiecki krytyk Fryderyk Wild. Rzecz może nie jest tak prosta. Niewątpliwie przemawia za jego interpretacją środowisko wschodnie, zrobienie bohatera Arabem (a więc semitą) i szereg rysów jego charakteru. Ale należy mieć w pamięci owo miejsce z „Żydów", gdzie Belloc zastrzega się, że nie czyni ogółu narodu wybranego odpowiedzialnym za zbrodnicze praktyki wielkich kapitalistów. Ponieważ jednak opanowywanie świata przez anominowy kapitał i monopolizowanie różnych gałęzi handlu czy przemysłu przypisuje grupom żydowskim, więc jego Mahmud jest zarówno przedstawicielem międzynarodowego kapitalizmu, jak żydostwa. W praktykach jego spotkamy się naturalnie znowu, zgodnie z metodą autora, z karykaturą, lecz jest to karykatura, oparta na bystrej i ścisłej obserwacji. Najlepszy dowód w tem, że trudno pomylić się co do jej przedmiotu, przywodzącego odrazu na pamięć rzeczywistość.

Ostre kontury treści pokrywa zawsze u Belloc'a starannie zachowany umiar wysłowienia. Dzięki temu satyra jego przypomina czającego się wśród kwiatów węża łacińskiego poety. Belloc wie, że bronią, którą włada najwalniej i najskuteczniej, jest ironja. Stąd szuka specjalnych form. Jak „Emanelowi Burden" dał formę zapisków naiwnego obserwatora, stojącego na boku i nie rozumiejącego istoty zjawisk, tak tu kazał przedstawiać je samej postaci centralnej, która je aż nadto dobrze rozumie, ale niezawsze puszcza wodze cynizmowi i przeważnie woli drapować się w szatę hypokryzji. Belloc dorobił przy tej sposobności groteskową ramę opowiadania ku zbudowaniu i pouczeniu licznych potomków ubogiego krewnego. Każdy szczegół ma tu swą wagę, każdy potęguje wrażenie — i owa charakterystyczna godzina publicznych egzekucyj (pewnie nad biedakami, którzy pokradli drobne sumy), i „rozkoszna zimna woda", którą Mahmud traktuje bratanków, i chrapliwy głos murzyna, i pełna szacunku postawa słuchaczy, i ich naiwne uwagi, a nadewszystko świetny epizod końcowy, którego bohaterem jest najzdolniejszy z młodzieńców—to wschodząca gwiazda, to ten, co „weźmie po Bekwarku lutnię".

O ile idzie o samo opowiadanie, Belloc wskrzesił tu popularny niegdyś rodzaj, powstały w połowie XVI w. w Hiszpanji („*Lazarillo de Tormes*" tłumaczony na polski p. t. „Łazik z Tormes"), który odegrał pewną rolę w genezie „Don Kiszota", naśladowany był w Anglji już z końcem w. XVI („Jack Wilton czyli Nieszczęśliwy podróżnik" Tomasza Nashe'a), później we Francji (n. p. przez Le Sage'a) a wreszcie przyczynił się do powstania angielskiej powieści XVIII w. (Defoe'go, Fieldinga, szczególnie Smolletta), a także powiastek filozoficznych Voltaire'a. Bohaterem jest *picaro* czyli łotrzyk. Wędruje po świecie, czasem żebrze, czasem okrada, zwykle oszukuje i bywa oszukiwany, wogóle znajduje się naprzemian na wozie i pod wozem. Ustawiczna zmiana środowiska daje autorowi pole do malowania najrozmaitszych stosunków i postaci, przyczem cel jest satyryczny. Na końcu *picaro* zazwyczaj osiedla się gdzieś na stałe i postanawia poprawę.

Belloc rodzaj ten zmodernizował. Bohaterem uczynił nie jakiegoś międzynarodowego kieszonkowca czy włamywacza, *minorum gentium* ptaka niebieskiego, lecz spekulanta w wielkim stylu, ale wprowadzając go odrazu jako potentata finansowego, zaczął opowiadanie od jego skromnych początków. Uczynił to dla zaznaczenia, że stawia narówni jego pierwsze, prymitywne kradzieże i późniejsze wielkie operacje finansowe, wpływające na losy państw i narodów.

Losy Mahmuda przypominają cały szereg ustępów z „Państwa niewolniczego" i „Żydów", gdzie np. Belloc, zwalczając złudzenie, że żydzi są narodem bogatym, stwierdza, iż fortuny ich prędko powstają i prędko nikną. W działalności Mahmuda podkreślić jeszcze należy trzy momenty: jego częste występowanie w roli członka społeczeństwa, wśród którego osiedlił się niedawno; częste wzmianki o przekupstwie, więc zaznaczanie demoralizującego wpływu, jaki sieje wokoło ten rycerz przemysłu w wielkim stylu; wreszcie powracający ustawicznie moment upaństwowienia, dokonywanego wśród szczytnych deklamacyj o korzyściach dla społeczeństwa i wyrazów wdzięczności dla jego dobroczyńcy, który w rzeczywistości wypełnia sobie kieszenie pieniądzem publicznym. W tym punkcie, zgodnie z teorją „państwa niewolniczego", spotykają się z sobą kapitalizm i etatyzm (a więc socjalizm), schodzący do roli pokrywki dla zbrodniczych machinacyj pasorzytnej jednostki.

Dla tem wyrazistszego przedstawienia postaci centralnej zrezygnował Belloc z dokładniejszego zróżniczkowania środowisk. Nadał mu ze względów artystycznych koloryt wschodni. Ale gdy słyszymy np. o naiwności żołnierzy i rolników — przypominam zacytowane miejsce z „Żydów", gdzie mowa o „żołnierzach i marynarzach"; o zacofaniu pod względem finansowym społeczeństwa, w którem nikt nie obliczy sprawnie procentu składanego na lat dziesięć; o niezdarnie skonstruowanych ustawach, mającym zapobiegać oszukańczej spekulacji, ale w gruncie rzeczy nie stanowiących żadnej przeszkody dla Mahmuda — czujemy, że autor ma na myśli Europę i społeczeństwa aryjskie, idealny teren eksploatacyjny dla intelektu żydowskiego, wytężonego w jednym kierunku, a nie skrępowanego aryjską etyką. Tym sposobem satyra godzi i w środowisko. Belloc mówi w „Żydach" wyraźnie:

„Wdać się z żydowską zdolnością handlową i potem skarżyć się na wynik, to rzecz godna pogardy".

I bodaj, że tu jest myśl powieści, jej nauka moralna, dzięki nadzwyczajnemu taktowi artystycznemu ledwie leciutko zaznaczona, ledwie dająca wyczytać się między wierszami. Nie antysemityzm, lecz asemityzm — jedyne rozsądne i celowe stanowisko [2]).

WŁADYSŁAW TARNAWSKI

---

[2]) Artykuł powyższy ukaże się jako wstęp do książkowego wydania „Łaski Allaha", które ogłosi Księgarnia św. Wojciecha w Poznaniu.

MÓJ ŻYCIORYS POETYCKI

(FRAGMENTY)

PRZEDSTAWIĆ swój życiorys poetycki w zarysie, wprowadzić garstkę ludzi do swojego warsztatu pisarskiego wejściem bocznem, bez parady, — wejściem dla przyjaciół, — oto ponętne zadanie!

...Mam przekonanie, że zanim zacząłem pisać wiersze, — to już na długo przedtem układałem poezje. — Nie w słowach własnych, ale w sytuacjach własnego za to pomysłu, często zupełnie bez słów, lecz zawsze ze wzruszeniem.

Wzruszenia te bywały tak mocne, że zapisały się we mnie lepiej, niż literami na papierze.

Skłonność do wzruszeń, dobrą pamięć i bardzo wrażliwe powonienie miałem od najwcześniejszego dzieciństwa.

Dzieciństwo swoje bardzo polubiłem, — kiedy minęło. Zajmowała się mną wtenczas czule matka i starsza siostra przyrodnia, Hela, którą kochałem niemniej od matki. Najwcześniejsze prawie wspomnienie mojego życia pokazuje mi mnie samego na foteliku z opuszczanym stolikiem, w który walę rytmicznie pięściami, krzycząc: — Hel-wi-dor! Pomi-dor! — Był to mój pierwszy czyn rymotwórczy, zanim się dowiedziałem o istnieniu rymów... Poemat ten był nawskroś fantastyczny: — Hela nie miała nic z pomidora, była blondynką o ciemnej oprawie oczu i miała warkocz do pięt, za który ją czasem targałem.

Drugiem wczesnem zdarzeniem literackiem, — już nie twórczem, ale odbiorczem, co prawda, — był bunt przy słuchaniu piosnki: „Staś mi pierścionek przywiózł z jarmarku... lecz Janku tyś mój kochanek".

Oburzało mnie i bolało uprzywilejowanie Janka; z całych sił solidaryzowałem się ze swym imiennikiem. Prosiłem niańkę, żeby zamiast J a n k u śpiewała S t a s i u, ale uparta kobiecina, — znacznie twardsza od Heli została przy swojem... Może dlatego, za karę, nie zapamiętałem jej imienia.

Wkrótce potem cały poemat liryczny ułożył mi się w taki niespodziany sposób: Pojechaliśmy, jak co roku, na wieś do krewnych na lato. Wiem, że mnie po przyjeździe umyto *extra*, poczem sam wymknąłem się przez ogród na dziedziniec, gdzie była sadzawka dla kaczek, a przy jej brzegu o krok kamień, jak wyspa. Na nim stała baba i coś w sadzawce prała. Gdy odeszła, zająłem jej miejsce na kamieniu. I nagle obleciał mię strach: zapomniałem jak mam wrócić na brzeg: przedemną woda, — patrzę na prawo — też woda, na lewo — znowu woda. Do trzech razy sztuka: — żeby się w tył obrócić zabrakło mi pomysłowości (z tego wnoszę, że byłem naprawdę bardzo mały). Wówczas poczułem że jestem zgubiony bez ratunku, że za chwilę nogi do reszty mi osłabną, że wpadnę w wodę, utonę...

I wtedy, — proszę mi wierzyć, żem był jeszcze zamały na kabotynerję świadomą — zacząłem żegnać się z życiem, — rozrzewniony sam sobą do łez, — żałujący siebie strasznie, — lecz zrezygnowany, stoicki. Nie krzyczałem, — to wiem napewno, — ale bez słów wymawianych — żegnałem się z ogrodem, dniem, poziomkami, obiecanemi na podwieczorek, — z mamą, z Helą i rodzeństwem wreszcie... — I to mię ocaliło: z ostatnią strofą poematu pożegnalnego chciałem spojrzeć na dom, gdzie tylu kochanych zostawiłem, i w tym celu zerknąłem — za siebie... Tej radości nie zapomnę po prawdziwy grób: — tuż za mną, — o krok, — był brzeg, za brzegiem — ogród. Byłem ocalony! — Lecz jak wróciłem do domu i co się stało później — już nic nie pamiętam.

* * *

Nie będę mnożył przykładów mojej twórczości z okresu analfabetyzmu. Przejdę odrazu do obfitszego w twórczość h i s t o r y c z n ą okresu następnego, gdym już zapoznawał się — z elementarzem.

Pierwsze sekrety abecadła posiadłem równocześnie z pierwszą wiadomością o tajemnicy bytu pozagrobowego. Lekcję z Mamą przerwała wizyta — jak dziś pamiętam, — pani Korzonowej, która przyszła opowiedzieć wrażenia z seansu spirytystycznego z Eusapją Palladino.

Schowany za kanapą, podsłuchiwałem, zamierając z ciekawości i strachu... — Dziwne słowa — lewitacja, aporty, passy, katalepsja — powtarzałem dnia następnego z lubością, w coraz to innych kombinacjach rytmicznych. Stałem się, nie wiedząc o tem, — zachłannym zwolennikiem egzotyczności retorycznej, odkryłem w sobie skonność do karesów dźwiękowych. — Gdy później, znacznie później — czytałem u Słowackiego: „Oktawa pieści, kocha mię sekstyna", — to pojąłem w lot, że „oktawa" robi to podobnie jak „lewitacja", a „sekstyna" — jak „passa" z „katalepsją".

Jeszcze zaś później, to dziecinne wspomnienie pozwoliło mi odczuć całą soczystą przyjemność, jakiej doznawał któryś z „bosiaków" Gorkija, kiedy wymawiał dziesięć razy z rzędu egzotyczne dla siebie, a więc magicznie, słówko: — „prejskurant". — Oceniać urodę słów pospolitych, słów rdzennie polskich, nauczyłem się grubo później.

* * *

W tych czasach lepiej deklamowałem, niż sylabizowałem. Mnóstwo wierszy nagromadziłem w pamięci „ze słuchu". Pensjonarski repertuar moich sióstr poznajomił mię ze „Świtezianką" „Ojcem Zadżumionych" i t. d. Dzięki Mamie, która była deklamatorką zawołaną, a brała lekcje od samego Kotarbińskiego, — byłem *au courant* prądów nowocześniejszych z pod znaku Asnyka i Konopnickiej. Jej wiersz „Przed sądem" bardzo lubiłem, — oprócz zakończenia: „Pójdź, dziecię, ja cię uczyć każę"! — które mi przypominało sylabizowanie i wydawało mi się czemś bezgranicznie prozaicznem.

Asnykiem za to upajałem się bez zastrzeżeń. — Zwłaszcza wiersz „Sam — na sam" deklamowałem na wszystkie tony — sobie nie komu — zawsze tylko w pustym pokoju, ażeby nikt nie słuchał tajemnic tego mojego „przeżywania" wierszowego,

bo tak — według dzisiejszej terminologji — trzebaby to nazwać...

Nigdy nie zapomnę pewnego przedpołudnia, gdy kroczyłem koło stołu okrągłego w swych krótkich majtkach, z pod których wyglądły wiecznie posiniaczone kolana (ubrania nigdy jakoś nie mogły nadążyć za moim wzrostem w górę!) i grzmiałem elegijnie:

Dzień był tak ciężki, wieczór taki głuchy,
Wiejący chłodem grobów i żałobą,
Wszystkie życzliwe odbiegły mnie duchy,
Łzy i nadzieje unosząc ze sobą...
Więc przy ognisku wygasłem, zczerniałem,
— Sam na sam — tylko z nieszczęściem zostałem...
Gość to surowy: serca nie rozpieści
Ani mu nie da we łzy się rozpłynąć..

W tem miejscu otrzymałem pierwszy w życiu oklask: — to moja matka, będąca właśnie w sąsiadującej ze stołowym pokojem łazience, — dała mi stamtąd brawo... Był to grom z jasnego sufitu! Podsłuchano mnie i oklaskiwano! — i to z tak prozaicznego miejsca!!

Uciekłszy na drugi koniec mieszkania — do saloniku, padłem na — kanapę i pozwoliłem jednak „sercu we łzy się rozpłynąć“, — łzy, wsiąkające poczciwie i dyskretnie w pokrowiec tej starowinki — kanapy, którą, — ażeby te niemęskie wylewy poskromić, — gryzłem przez pokrowiec aż do aksamitu, ledwie naówczas napoczętego przez mole.

Cząstkę tej sceny połączyłem z innem, późniejszem, wspomnieniem i przetransportowałem do sceny I-ej „Balu w obłokach“. Siebie — zmieniłem w Ludkę, lecz łzy zostały łzami i na swojem miejscu: — na kanapie.

* * *

Zatrzymałem się trochę dłużej na tej przedlodowcowej epoce mojego życia, bo w niej tkwią korzeniami liczne zdarzenia późniejsze, już do bieżącej mojej l i t e r a t u r y należące.

Zresztą, dzieciństwo i poezja tak wybornie rymują się ze sobą wszelkiemi konsonansami uczuć i asonansami wspomnień, zaś tak zupełnie bez konwenansu, że trudno się oderwać od swego malutkiego Herkulanum, zawalonego przeszłością... Więcej się o niem gwarzy, niż o lawie życiowej, która to później przykryła...

* * *

Wspomnę jeszcze z tych czasów o nieudanej pierwszej próbie zostania literatem. Powtórzyła się ze mną historja Molierowskiego pana Jourdain, uszlachconego mieszczucha: tak samo jak on — doznałem był olśnienia, że mówię prozą, — że to, co wygaduję codziennie, jest dostojną czynnością u ż y w a n i a p r o z y, — bowiem prozą jest wszystko to, c o n i e j e s t w i e r s z e m.

Nabrawszy dla siebie szacunku jako dla wytrawnego prozaika, postanowiłem spróbować swoich sił w wierszu. Pisać już wówczas umiałem. Tłum słów i myśli kłębił mi się w głowie, — ale żadną miarą nie chciał z niej wyjść na papier. Ponieważ byłem niedługo przed tem świadkiem czytania improwizacji Konrada na potajemnem kółku samokształcenia w naszym domu, więc chciałem zastosować ten środek natchnienio-dawczy, do którego uciekał się Mickiewicz przed improwizacją, mianowicie — muzykę. Nie mając pod ręką Frejenda z fletem, zacząłem nucić po kolei wszystkie znane mi melodje. Niestety, nie zdołałem sklecić rymem ani dwóch wierszy w dwie godziny, — poczem uznałem, że jestem wiekuiście skazany na prozę.

Proszę wierzyć, że było to dla mnie prawdziwym smutkiem i najprawdziwszym zawodem... Pierwszą też w życiu serjo lekcją rezygnacji. Gdy się później zetknąłem z wierszem Krasińskiego:

„O, w sercu mojem są niebiańskie dźwięki,
Lecz nim ust dojdą, łamią się na dwoje...“

to wiersz ten nie był już dla mnie literaturą, ale przeżyciem, potwierdzonem w mojem własnem doświadczeniu.

* * *

O swem życiu dojrzalszem nie będę dużo mówił. Szczegóły osobiste istnieją przecież w uogólnieniu poetyckiem i niema racji systematycznie ich stamtąd wydłubywać. To własność prywatna, może nietylko moja. Sporo jeździłem za młodu po świecie. Poznałem dużo ludzi ciekawych i nieciekawych. Wreszcie poznałem się też potrosze na sobie, czyli wyznaczyłem sobie odrębny kąt w pisaninie współczesnej. W zbiorze „Gest Wewnętrzny“ umieściłem tylko takie wiersze, które jako — tako odrębność tę wyrażały. Dlatego nielicznym tylko strofkom pozwoliłem zobaczyć ladę księgarską i druk.

Norwid mówi, iż są — „łzy, co przepełniać zwykły, a nie pełnić czaszę“. Według mnie, tylko takie mają znaczenie w liryce.

* * *

Wierzę jednak, iż niema człowieka, któryby nie bywał czasami poetą. Poetą bywa każdy, czy o tem wie, czy nie wie...

Tylko nie każdy umie nim być — wobec innych... Tej ostatniej sztuki uczy nas właśnie — sztuka... Czyli zawiły aparat prawideł i praw, do którego talent jest kluczem, a zręczność naśladowcza — wytrychem...

Aparatowi temu sens istotny daje każdorazowo osobistość człowieka, który go używa.

Najkunsztowniejsza liryka wywodzi się zatem ze zwyczajnego przeżycia.

Ot, np. pospolity list, przez kogoś nieprzyjęty, dla czegoś — niewysłany, — albo n i e n a p i s a n y nawet, — bywa ojcem licznego potomstwa lirycznego, najczęściej — ojcem nieznanym...

Otóż mojem dążeniem, moją nawet ambicją, było — dać wierszom niesfałszowany rodowód. Chciałem, żeby w każdym z nich czuło się rzeczywistość uczuciową za plecami artystyczności.

* * *

Nie jest wszakże ta moja poezja lirycznym inwentarzem wypadków rzeczywistych. Rzeczywistością bywa przecież nietylko to, co się zdarzyło, lecz i to, co się zdarzyć było powinno, gdyby „losów przekorność“ inaczej nie zrządziła... Odłamana gałązka, — to wielki konar, w zarodku ginący. Być może, mocna przyszłość zginęła w kruchej witce...

Poeta ma prawo poświęcić jej — chociażby epopeję!

(Dok. nast.). STANISŁAW MIŁASZEWSKI

NA WIDOWNI

Obłąkany ideał wychowawczy. — Manja samobójcza. — O tem, jak wyzyskano przeciw Polsce mesjanizm poetów emigracyjnych. — Poloniści galicyjscy spadkobiercami wieszczów. — Mesjanizm po rosyjsku w tłumaczeniu na język austrjacki. — Choroba niewoli. — *Morituri.*

Z CIEKAWOŚCIĄ wziąłem do ręki świeżo wydaną książkę Feliksa Przyjemskiego p. t. „O polski system wychowawczy". Jest to praca żarliwego, jak widać, wychowawcy młodzieży i nastrojonego patrjotycznie. Przekonałem się jednak z niej, że jesteśmy dopiero w początku dyskusji na ten tak ważny temat. Poprostu brak nam ustalonych pojęć z zakresu nauki o narodzie. Nie możemy dzisiaj dać dostatecznie trafnej odpowiedzi na pytanie, jaki ma być nasz system wychowawczy, bo nie wiemy jeszcze, jaki człowiek jest Polsce potrzebny i czy wogóle dla Polski człowieka wychowujemy, czy też na jakieś inne przeznaczenie.

My tutaj w „Myśli Narodowej" doskonale zdajemy sobie sprawę z tego położenia kwestji wychowania. Dlatego wprowadziliśmy odpowiednią rubrykę, aby to zagadnienie wyrwać z zaklętego koła fachowości, nie związanej dostatecznie z życiem myśli narodowej i zmusić umysły twórcze do zajęcia się niem na serjo, jako sprawą wielkiej doniosłości.

Przy sposobności książki p. Przyjemskiego— nie wdając się w zagadnienie fachowe wychowania — poruszę sprawę celowości i sensu wychowania. W książce p. Przyjemskiego najsłabszym punktem jest właśnie niejasny pogląd na życie narodu i zadania człowieka, za cywilizację narodową odpowiedzialnego. Traci przez to na wartości metoda dochodzeń specjalnych w zakresie wychowania. Z początkowych założeń autora zdawało się wynikać, że chciałby widzieć w przyszłem pokoleniu siły, któreby z niedojrzałej jeszcze Polski uczyniły twór cywilizacyjny samoistny i trwały. Słusznie też odradza wzorowania się na cudzych systemach wychowania, doradza zaś wdrażanie młodzieży w realne życie społeczeństwa przez poznawanie jego realnych potrzeb. Ale w dalszym ciągu staje na gruncie mesjanicznym i wmawia zarówno społeczeństwu, jak i szkole jakąś mglistą misję z punktem ciążenia poza szranki cywilizacji rodzimej.

Ostatni rozdział p. t. „O ideał dla Polski" utwierdził mnie w przekonaniu:

1) Że my dzisiejsi, niedobitki z okresu rozbiorów, jesteśmy bodaj najtragiczniejszą generacją z szeregu, jakie minęły od 18 wieku. Mamy bowiem już możność porozumiewania się w sprawach zasadniczych bytu narodowego, a brak nam wspólnego języka. Przychodzimy do zdrowych dzieci, aby je prowadzić, a sami kalecy. Przed wojną kokietowaliśmy świat tem kalectwem, a teraz pożałowanie budzimy, nie wiedząc, co z Polską robić, zgadując ideał Polski.

2) My dzisiejsi markujmy dyskusję o wychowaniu, aby tylko przeczekać swój czas i wymrzeć. Dopiero, kiedy śladu nie pozostanie po mesjanizmie, a zwłaszcza po szkole galicyjskiej, wtedy można będzie o Polsce mówić z sensem, a więc i o wychowaniu.

Pan Przyjemski utrzymuje, że ideałem dziejowym Polski było:

„Rozwijanie się w złotych promieniach wolności osobistej i politycznej aż do upojenia się jej życiotwórczym napojem, tudzież niesienie tej wolności innym (Za wolność naszą i waszą)".

Sejm czteroletni i konstytucja 3 maja wprowadziły nas „znowu na zagubioną polskę drogę, wskazywaną przed trzema wiekami przez mądrego Frycza Modrzewskiego", a po rozbiorach odnaleźliśmy swoje gwiazdy przewodnie w wieszczach narodu. „Myśmy wszyscy z nich" — oto pogląd historyczny Przyjemskiego. A po wojnie — snuje dalej tę nić — nastała wiosna ludów w myśl ideału polskiego:

...„zaczęły padać hasła, które już padały w okresie rewolucji francuskiej i wiosny ludów, a pod któremi miano teraz wznosić nową budowę: wolność, braterstwo i samostanowienie narodów, sprawiedliwość i prawo przed siłą, powszechne bezpieczeństwo i rozbrojenie(?), plebiscyty (!), prawa dla mniejszości (!), ustrój republikański, Liga narodów, Stany Zjednoczone Europy („Paneuropa"), moralna odbudowa człowieka (?) i t. p. Wszak to przeważnie nasze polskie hasła"!

— Więc potem następuje gloryfikacja Wilsona, a nawet p. Coudenhove Kalergis, w którym... płynie krew polska („I to jest znamienne" — dodaje autor)[1]).

Bardziej znamienne jest to, że p. Przyjemski nie spostrzega potworności komicznej sytuacji, w którą ubiera Polskę, mianując dziedzicem i wykonawcą ideału narodowego Polski przygodnego wiedeńczyka, p. Condenhove-Kalergis. Znamienność polega na tem mianowicie: nie spostrzega. To dowód, do jakiego stopnia w pewnych sferach załgaliśmy się na temat Polski; poprostu powytwarzały się nałogi myślenia automatycznego, które nie pozwalają nam rozumieć tego, co wypowiadamy. Gdybym inaczej tę rzecz oceniał, musiałbym osobiście p. Przyjemskiego dotknąć, pomawiając go o złą wolę. Mam jednak wrażenie, że jest szczerze kochającym Polskę obywatelem, ale automatyczna doktryna robi go niekrytycznym. Bo skądże trzeźwy Polak mógłby z radością przyjmować ciosy, które nas w traktacie spotkały w postaci plebiscytów lub ograniczeń w sprawie mniejszości narodowych? Albo ta radość z powodu Ligi Narodów! Punkty, o których mowa, były triumfem Żydów. Liga Narodów — Paneuropa też leżą w ich linji politycznej. Zgoła cały ideał odwrócił się w głowie autora na wspak.

Skądże się to wzięło, że Polak oświecony w w. XX może się pomylić w myśleniu o Polsce o cały ideał i brać rozpęd w kierunku dla narodu samobójczym? Stądże uznał za swój dorobek myślowy to, co nam od paru pokoleń poddawała, jakby

---

[1]) Co do tej krwi: słynna Marja Kalergis była córką Fryd. Nesselrode (niemca i rosjanina) a bratanką Karola Roberta, potężnego kanclerza Rosji. Fryderyk był adjutantem ks. Konstantego w Warszawie, a po r. 1840, szefem żandarmerji Król. Polskiego, zrywającym pierwiosnki „wiosny ludów". Ożenił się jeszcze w Petersburgu z jakąś polką (Górską) i z nią w r. 1823 miał córkę, ową Marję, która później obwołana była za Miss-Europę. Durzył się w niej i Norwid, wówczas świetny młodzieniec. Była już wtedy panią Kalergis — w separacji. Rodzice oddali ją bardzo młodą szpetnemu miljonerowi greckiemu, Janowi Kalergis, za dwa miljony rubli, zapłaconych przed ślubem. Wyszła potem za mąż powtórnie za Muchanowa. Historja wymienia między jej „wielbicielami" w Europie: Musseta, Heinego, T. Gauthier, Liszta, hr. Molé, Eug. Cavaignaca, Ludwika Napoleona a z Polaków Adama hr. Potockiego, Józefa Szembeka. Zwała się wtedy „Calergi". Córka jej wyszła za hr. Coudenhove, Holendra chyba. W dzisiejszym więc apostole Paneuropy za tę kroplę krwi polskiej po prababce, nie należy ryzykować takiej stawki, jak losy Polski.

we śnie hypnotycznym, nauka masonerji. Ona nas nauczyła „gonić w piętkę“. Ręczę, że p. Przyjemski, gdyby mu kazano w tem jego opowiadaniu ewangelji polskiej wstawić zamiast wyrazu Polska nazwę jakiegokolwiek innego narodu, przebudziłby się ze snu i zawahałby się: — Nie, skądżeby mógł się wziąć taki naród idjotów! Tylko Polsce do twarzy z piętnem obłąkanego, którego lud nazywa poprostu „głupi“, a Rosjanie „jurodiwyj“.

Obawa zdrowego życia, pasowana na świętość, narzucona nam została przez masonerję ze wschodu rosyjskiego. Jest w niej coś sekciarstwa wielkoruskiego, zalecającego „samookaleczenie“, coś z tołstoizmu. Przyjemski wspomina czule Wilsona. Ale jego poprzednik Roosevelt powiedział, że społeczeństwo, któreby wzięło na serjo naukę Tołstoja i zastosowało ją w życiu, musiałoby w ciągu paru lat się rozsypać.

Niedawno się dowiedziałem, że między wielu lożami w Polsce jest jedna, zwąca się „lożą martynistów“. Jest to jakiś specjalny organ teozoficzny, ale wszystkie doktryny liberalne wolnomularstwa mają wiele wschodniego, choćby od żydostwa, które je propaguje. Doskonale przyjmują się w Rosji na glebie sekciarstwa, zatrudnionego poszukiwaniem Boga i oczekiwaniem na przyjście Mesjasza. Nauka teozoficzna Boehmego i Saint-Martina porobiła w Rosji wiele spustoszeń w łonie inteligencji. Ogarnęła ona bawiącego wówczas (1827) Mickiewicza i przez niego dostała się do poezji emigracyjnej. Ale trzeba było zaiste przemyślnej propagandy, żeby stąd dostała się do kraju i przetrwała sto lat, jako formuła ideału narodowego!

Mickiewicz, wstrząśnięty do głębi wtajemniczeniem w arkana wiedzy tajemnej, jakby mu się odsłoniły przepaście i światy nowe, przesunął wyobraźnię poetycką na tory mistyczne, a ten przewrót duchowy wyraził się w sposób, dający najwyższą miarę genjuszowi poety, w trzeciej części „Dziadów“ i w „Księgach pielgrzymstwa polskiego“. Była to jednak p o e z j a. Ofiarą jej padł osobiście Mickiewicz, złożył w niej bowiem ofiarę w całopaleniu dla odkupienia Ojczyzny. W tem poetyckiem doświadczeniu na duszy Mickiewicza było wiele pouczającego dla psychologji, a dla wyobraźni narodu — obraz, że duch narodu zdolen jestześrodkować się w płomieniu, którym goreje jego genjusz. I tu się kończy legenda Mickiewicza.

Stworzono jednak jej dalszy ciąg, że ideał dziejowy narodu „wcielił się w wieszczów i mędrców narodowych“ (analogja do proroków żydowskich) i że odtąd słup ognisty gorejącego wizją mistyczną Mickiewicza wiedzie naród wciąż, jako Chrystusa narodów, do jakiegoś mesjanicznego przeznaczenia.

Niski poziom kultury politycznej umożliwił powodzenie tej doktrynie, która w drugiej połowie XIX wieku wytworzyła w Galicji rodzaj sekty. Głównymi nauczycielami w tej szkole byli interpretatorzy literatury emigracyjnej na katedrach i w prasie, a następnie setki polonistów po szkołach.

Nauka ta miała wielki urok w czasach niewoli i nawet pewne zalety, jako forma popularna nauczania, niejako mitologicznego, na temat osobowości duchowej narodu, nauczania połączonego z uprawą uczuć patrjotycznych na wysokim poziomie koncepcyj literackich. Ale nie myślało się wtedy o następstwach, że gdy po okresie więziennym przyjdzie pora wyjść w pole słonecznej rzeczywistości, to zmanjerowana nauką symbolów inteligencja ulęknie się bytu realnego. Tego bytu, o który modlił się wieszcz późniejszy, Wyspiański, już przeczuwający świtanie, aby wolno było Polsce b y ć, poprostu b y ć t a k, j a k i n n i. Autor omawianej książki o polskim systemie wychowawczym jest owym galicjaninem, który wiedzę o Polsce realnej zastąpioną miał ekranem z owemi obrazami świetlnemi poezji emigracyjnej. Uczył się Polski na emigracji, a w kraju jej nie widział. W dalszym ciągu ci ludzie realnej Polski nie widzą, tylko im się roją sny emigracyjne.

W takim stanie ducha nie podobna sensownie rządzić państwem, ani wychowywać młodzieży. Państwo w naszych warunkach geograficznych i etnicznych, któreby pieściło ideał samookalecznia przy pomocy plebiscytów, praw o „mniejszościach“ narodowych, federacji, ideał wreszcie drobnego stanu zjednoczonego w Paneuropie, kilku lat nie przeżyłoby.

Zrozumiałą jest rzeczą, że nauka polonistów w Galicji przypadła do gustu Austrji, żydom, masonerji i tym rewolucjonistom polskim ze wschodu, którzy, znalazłszy dla siebie w Galicji punkt operacyjny przeciwko caratowi, przywdziać mogli na się barwy polskie i iść do walki pod hasłem „za naszą i waszą wolność“. Byli to ludzie, jak wiemy z życiorysów, którzy stracili wiarę w naród polski, a dla dobra ludu rosyjskiego gotowi byli poświęcić życie. Która zaś była „nasza“ wolność, a która „wasza“, z tego w końcu sami nie zdawali sobie sprawy. Austrja doskonale tę psychikę na użytek swój i Niemiec w czasie wojny wyzyskała. Dziś dopiero na dochodzącej do wyrównania powierzchni życia polskiego widać blizny z ran, jakie zadała nam niewola, a między niemi tę głęboką austrjacką, sięgającą aż w poczucie ideału narodowego.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

W OBRONIE PRAWDY

PRZED rozpoczęciem odczytu p. Coudenhove-Kalergi w sali Uniwersytetu Warszawskiego dnia 8 b. m. manifestowała młodzież narodowa, opuszczając salę wśród okrzyków: „Precz ze sługą żydowskim“, „Precz z masonerją“. Słyszeli to może po raz pierwszy u nas członkowie rządu i korpusu dyplomatycznego, którzy stawili się na odczyt „brata“. Potem wyszła też część publiczności, dowiedziawszy się z okrzyków młodzieży, jaki to prelegent jest tak uroczyście witany.

Rzecz znamienna: wszystkie gazety pisały nazajutrz o manifestacji, ale wymówić słowo: „mason“ odważyła się tylko „Gazeta Warszawska“, oraz „Nasz Przegląd“, który t e ż nie boi się nazwać masona, *vulgo* szabes-goja, po imieniu. Obszernie rozpisał się o całem zajściu i o odczycie nasz pacyfista, p. A. Słonimski w nr. 11 b. r. „Wiadomości Literackich“ — w obronie kultury. (Niech o jego własnej „kulturze“ zaświadczy wyjątek z jego drugiego artykułu w tymże numerze „Wiadomości Literackich“: „marzyłem... aby mu ktoś przynajmniej nakładł pomordzie“). Pragnę tu sprostować przekręcenia p. A. Słonimskiego i przedstawić we właściwem świetle całe zajście. Idąc za „Naszym Przeglądem“, p. Słonimski kpi z młodzieży narodowej, że wzięła p. Coudenhove

Kalergi za żyda. Otóż tak nie było, gdyż wołano nie „precz z żydami“, lecz „precz z pachołkiem żydowskim" i „precz z masonerją“. To chyba jasne.

Potem oburza się p. S. na „bałkański skandal“ w „zacofanym kraju“, na protest „przeciw próbom stworzenia unji narodów europejskich“. Obojętne jest, co miał na tym właśnie odczycie powiedzieć p. Coudenhove-Kalergi. Ważniejszem jest — kim jest on sam i o co mu naprawdę chodzi. Wiemy wszyscy, że masonerja zaczyna od haseł szlachetnych i porywających, by zdobyć elitę danego narodu. Klasycznym tego przykładem jest masonerja w dawnej Polsce, kiedy na lep haseł patrjotycznych brała ludzi najbardziej wartościowych. A jednak wyprowadzanie stąd wniosku o szlachetności dawnej masonerji byłoby przedwczesne, gdyż nie w Polsce było jej kierownictwo. Jeśli wiemy, że ktoś jest, dajmy na to, bolszewikiem, to wiemy również, że wygłaszając odczyt pacyfistyczny, może nawet w b. szlachetnym tonie, ma on na celu osłabienie naszej odporności przeciw nawale bolszewickiej. Otóż że p. Coudenhove-Kalergi jest masonem, widać to choćby z tak uprzejmego i pompatycznego przyjęcia prelegenta przez „brata“ A. Lednickiego, widać również z dzieł innego Coudenhove-Kalergi, przez prelegenta adnotowanych, gdzie z całą naiwnością maluje się ideał przyszłej Europy, zjednoczonej pod przewodnictwem żydów, którzy staną się nową arystokracją i dadzą nowe (zaiste, aż zanadto nowe) sumienie ludom europejskim. Oto jego „próby utrwalenia pokoju i swobody w Europie“ (Słonimski l. c.). Przykład patrjotyzmu dał nam Chrystus Pan w rozmowie z samarytanką, rozmowie, która na pierwszy rzut oka może się wydawać dziwną. Teraz zwalczają patrjotyzm masoni, jako szowinizm i nacjonalizm. Są też oni zagorzałymi pacyfistami. Czemu? Niech odpowiedzą na te znane powszechnie wyjątki z planów żydowskich, opartych na Talmudzie: osłabić przywiązanie do narodu, by odebrać solidarność „gojom", zniszczyć w nich ducha rycerskiego, by zmienić ich w trzodę łagodnych zwierząt domowych, służących ochoczo żydowskiej arystokracji, tej z marzeń „drogiego hrabiego".

Toteż nie „ordynarną i ponurą aferą“, lecz wysoce pocieszającem zjawiskiem jest, że dzisiejsza młodzież orjentuje się w ludziach i hasłach i potrafi zareagować godnie i odważnie.

TESTIS

WYCHOWANIE NARODOWE

PROPAGANDA PACYFIZMU W WYCHOWANIU

3. Pacyfizm w szkole niemieckiej...

PRZYPATRZMY się teraz, w jakim duchu wychowują swoją młodzież ci najgorliwsi dziś propagatorowie rozbrojenia ludzkości, którzy w szybkiem tempie i w udoskonalonej formie odbudowują obecnie swoją potęgę militarną. Poznanie tych stosunków ma szczególne znaczenie dla nas, którzy sąsiadujemy z nimi bezpośrednio i to z tej strony, w którą przedewszystkiem zwraca się główna siła ich ekspansji.

Może być, że znajdują się pomiędzy nimi jednostki, które szczerze przejęte są ideałami zgodnego współżycia i współpracy z innymi. Ale ogół, naród? Szczersi, uczciwsi z tych pierwszych stwierdzają otwarcie, że praca ich natrafia na wielkie trudności.

Postaram się przedstawić zapatrywania niemieckich nauczycieli historji na kwestje pacyfistycznego wychowania. Wprawdzie obraz ten oprę na jednem tylko dziele, ale charakter jego nadaje mu specjalne znaczenie i pozwala na wyciągnięcie ogólnych sądów.

Wspomniane poprzednio instytucje: Dotacja Carnegie'go dla pokoju międzynarodowego i Powszechny Związek Chrześcijański zainteresowały się „nacjonalizmem" podręczników szkolnych i zajęły się zbadaniem powojennych podręczników historji w różnych państwach. Sprawozdanie o podręcznikach niemieckich opracowało trzech Francuzów, którzy stwierdzili, że wprawdzie konstytucja wejmarska nakłania do krzewienia uczuć humanitarnych, ale że podręczniki historji przeniknięte są niejednokrotnie „duchem pruskim".

Wtedy na życzenie Niemców wydano w Stokholmie drugi referat o niemieckich podręcznikach historji, opracowany przez samych Niemców. Wyszedł on w formie rozprawy p. t. „*Gutachten über die deutschen Geschiechtslehrbücher*“, napisanej na zlecenie Związku niemieckich nauczycieli historji przez przewodniczącego tego związku, D-ra Arnolda Reimanna[1]). Jest to więc niemal oficjalna odpowiedź całej organizacji, odpowiedź, która miała za zadanie bronić Niemców na terenie międzynarodowym przed zarzutami, zawartemi w referacie francuskim.

Dr. Reimann na wstępie rozważa zagadnienie, co jest przyczyną tej fałszywej według jego zdania opinji o niemieckich podręcznikach szkolnych i dochodzi do wniosku, że jest ona przedewszystkiem dziełem propagandy francuskiej, która ją szerzy po świecie dla celów politycznych.

Następnie w szeregu rozdziałów przedstawia, jaki jest niemiecki ideał wychowawczy i w jakiej mierze służy mu nauka poszczególnych przedmiotów. Ideał ten streszcza krótko w zdaniu: „Chcemy wychować Niemców. To jest główne zadanie“. (str. 7). A jak to pogodzić z dążeniami ogólnoludzkiemi? Bardzo prosto: „Prawdziwa miłość ojczyzny — powiada — jest właściwą drogą do ludzkości“. (str. 7). Tylko ciasne umysły uważają miłość ojczyzny za przeciwieństwo miłości ludzkości. Tylko ten, kto swa ojczyznę kocha, czuje się tysiąckrotnie związany z swym narodem, może zrozumieć podobne uczucia u innych. Tylko z nauczania historji w duchu narodowym może rozwinąć się poczucie międzynarodowe. Dlatego muszą odpaść wszelkie zarzuty, które odnoszą się do pielęgnowania niemieckiej tradycji np. do tej jakoby szowinistycznej miłości dla Fryderyka W. Bismarcka i in. Ci wielcy pozostaną trwałą własnością narodu niemieckiego. „Tylko ten jest prawdziwym kosmopolitą, kto żyje własnem, odrębnem życiem“ (str. 9) i w ten sposób uczy się rozumieć innych. Stanowisko, jak widzimy, sprecyzowane bardzo wyraźnie.

Dalej Dr. Reimann stwierdza, że nauka historji w Niemczech stara się rozbudzić męstwo, poczucie honoru narodowego i odrębności, ponieważ w koncercie narodów, tylko takie głosy mają wartość, które posiadają czysty, pełny dźwięk. I powiada dalej: Niemiec „domaga się szacunku dla swych

[1]) Stokholm (bez daty), wydawnictwo *Universal Christian Conference on Life and Work. Raport on nationalism in history textbooks, II Supplement.*

zapatrywań, kultury, potrzeb życiowych i wie, że ten szacunek zyska, gdy będzie moralnie silny, nie będzie gonić za abstrakcyjnym pacyfizmem, który go rozbroi i usunie jako czynnik polityczny" (str. 60).

A prawdziwie pacyfistycznym duchem owiany jest według dr. Reimanna następujący pogląd szerzony przez szkołę niemiecką: Dalszy rozwój kultury europejskiej po obecnej katastrofie jest możebny tylko przy pomocy Niemców, ich nauki, techniki, ich niezniszczalnych sił narodowych. „Wiemy — powiada — co świat zawdzięcza innym narodom, ale wiemy też, co myśmy sami zdziałali i co jeszcze zdziałać jesteśmy zdolni". (str. 60.) „W tym prawdziwym pacyfistycznym duchu chcemy wychowywać naszą młodzież" (str. 61).

Dalej dowiadujemy się od autora, że młodzież niemiecka uczy się w szkole o tem, że naród niemiecki żyje obecnie „w hańbie i kajdanach", że jest zabawką w rękach obcej przemocy. Jak to należy rozumieć? „Nie można żadną miarą przemilczeć, że w dzielnicach gwałtem oderwanych, czysto niemieckich, szczególnie na wschodzie podeptano zasadę Wilsona samostanowienia narodów, że niemożliwe do utrzymania granice pokoju przemocy muszą być na drodze układów — nie siłą — w niedalekiej przyszłości w duchu sprawiedliwości zmienione". A dalej „że mniejszość niemiecka w niektórych sąsiednich państwach jest bezwzględnie prześladowana" (str. 42/43).

Podręczniki uczą dalej młodzież, że jest to połączone z wielką szkodą nie tylko Niemców ale światowego gospodarstwa, że narodowi o wielkiej rozrodczości, nadzwyczajnej energji, wysoko rozwiniętej technice, a nie mającemu surowców i środków żywności, odebrano wolny dostęp do surowców i naturalny teren ekspansji na własnej ziemi. — Ta „własna ziemia", która była naturalnym terenem ekspansji, to nie ulega wątpliwości: nasze Pomorze, Poznańskie i Górny Śląsk.

Ale to jeszcze nie wszystko. Dr. Reimann stwierdza, że zagadnieniu Niemców, mieszkających poza granicami państwa niemieckiego, nauka szkolna poświęca dużo uwagi. Podręczniki szkolne, odpowiednie szkice, tablice wskazują młodzieży, jak wielkie straty przyniósł narodowi niemieckiemu Traktat Wersalski. Tej sprawie poświęcone jest osobne czasopismo Wreszcie młodzież wyższych klas należy w oddzielnych grupach szkolnych do Towarzystwa opieki nad Niemcami mieszkającymi zagranicą.

Każdy z nas po zaznajomieniu się z temi tendencjami w szkole niemiemieckiej zapyta się: jak można je obronić przed zarzutem „pruskiego" ducha, jak można pogodzić tego rodzaju naukę z ideą „międzynarodowości" i pacyfizmu?

Dr. Reimann po przedstawieniu tej sprawy stawia inne pytanie: „Kto może brać za złe szkole niemieckiej wysuwanie tych żądań. Kto może w tem widzieć agresywne stanowisko względem innych narodów?" (str. 43). Przeciwnie, według jego zdania podręczniki przesiąknięte są duchem pokojowym, duchem umiarkowania, oparte o naukową podstawę geopolityki i geoekonomji. „W ten sposób geografja razem z historją rozwijają zrozumienie związków światowych, a przez swoje podstawy kuluralno naukowe i geopolityczne pracują nad dziełem pokoju" (str. 43).

(Dok. nast.). J. HAJEWICZ

NAUKA I LITERATURA

RUCH WYDAWNICZY

Dzieł Jana Kasprowicza, wydawanych w Krakowie przez Wojciecha Meiselsa, ukazały się trzy nowe tomy: V *Anima Lachrymans* (z portretem), VI Miłość, VII Krzak dzikiej róży (z portr.). W ten sposób mamy już w ręku utwory z okresu młodzieńczego łącznie z początkami pełnego rozkwitu artystycznego — do r. 1898. Potem nastąpią hymny.

*

Nakładem Komitetu jubileuszowego, który w 80-lecie życia a w 60-lecie pracy obywatelskiej uczcił zasłużonego na polu oświaty Józefata Andrzejowskiego, wyszła obecnie książka p. t „Pamiątka jubileuszu J. A. uczczonego obchodem 16 czerwca 1929". Znajdziemy tu portret i życiorys jubilata, fotografję zebranych na obchodzie, oraz zbiór przemówień, listów i poezyj hołdowniczych.

*

Zasłużona pisarka i działaczka społeczna Aniela Piszowa wydała w Tarnowie, w roku dla miasta jubileuszowym 1330—1930, książkę p. t. „600-lecie Tarnowa. Opowiadanie historyczne". (Nakładem i drukiem drukarni J. Pisza, str. 220). Przedmowę dodał prof. Ludwik Skoczylas. Książka bardzo miła i pożyteczna, pełna informacyj historycznych. Wydawnictwa takie przyczyniają się wielce do rozwoju kultury obywatelskiej, pogłębiając uczucia przywiązania do tradycji miejscowej. Wzór do naśladowania.

*

Nakładem Instytutu Bałtyckiego (skład główny u Gebethnera i Wolffa) ukazała się praca Kazimierza Smogorzewskiego: „Propaganda „korytarzowa" zagranicą" Jest to odbitka z „Pamiętnika Instytutu Bałt." zesz. 3. Książka Smogorzewskiego daje początek pracy zbiorowej p. t. „Przeciw propagandzie korytarzowej" pod redakcją dyrektora Instytutu Józefa Borowika. W książce swej Smogorzewski zebrał skrzętnie i oświetlił: 1) organizację i hasła propagandy niemieckiej, 2) roboty niemieckie we Francji, 3) w Anglji, 4) w Ameryce, Rozdział piąty nosi tytuł „Włochy, Polska i korytarz". Tu się okazuje, jak potrzebny był Instytut Bałtycki.

*

„Ludu", organu pol. Tow. Etnologicznego, wydawanego przez Tow. ludoznawcze we Lwowie wyszedł zesz. III — IV tomu VIII serji 2. Z rozpraw w tym tomie ważniejsze: K. Koranyi'ego „Snochactwo we Włoszech", J. Kuchty „Rodzime wątki w podaniach o Twardowskim", K. Sochaniewicza „Miary i ceny na Podolu XVI w.", Jul. Krzyżanowskiego „Peregrynacja Maćkowa". Pozatem wiele materjałów i recenzyj.

*

„Ruch prawniczy, ekonomiczny i socjologiczny", wychodzący w Poznaniu pod redakcją prof. Ant. Peretiatkowicza, wstępując w dziesiąty rok istnienia, wydał wspaniały tom jubileuszowy (zesz. I z r. 1930). Zawiera on około 30 rozpraw uczonych ze wszystkich polskich uniwersytetów, 26 recenzyj, kroniki. Redakcja adres: Poznań, Zamek; czeki na PKO księgarni Św. Wojciecha nr. 200.032. Cena roczna 25 zł. (dla urzędników 15 zł.).

SZTUKI PLASTYCZNE

BEZ SERC, BEZ DUCHA...

Co warta sztuka bez zachwytu, bez polotu? Temat — to rzecz obojętna. Ma w swoim dorobku Wyspiański jeden mały obrazek — skromny bukiet fijołków. Kto go zna, niech sobie przypomni. Ile tam jest polotu, ile ducha! Tylko jakiś Nansen, lub Amundsen po latach pobytu na biegunie, wydarty z objęć śmierci lodowej mógłby w ten sposób spojrzeć na bukiet fijołków. Rosa niewysłowionego szczęścia w oczach mu zaświeciła, płuca słodkim zapachem kwiatu i cierpkim — ziemi rodzajnej załkały, skóra policzków pieszczotliwą miękkość wilgoci, jak chłodny pocałunek ustek dziecięcych wyczuła, duch pochylił się nad tajemnicą wiosny, z traw ku niebu poglądającej.

Czemże są obecne, minione i nadchodzące wystawy Zachęty i Salonów warszawskich — Rytów i Proartów wo-

bec tego jednego skromnego bukietu fijołków? Co warta sztuka bez zachwytu, bez polotu? Może społecznie posiada tę czy inną wartość. Sam jej to, półgębkiem coprawda, przyznałem. Ale wracam do siebie, gdzie żadne społeczeństwo słów mi nie pęta, i — nie widzę tej wartości. Nie dotrzymała mi kroku. Odeszła jeszcze na ulicy. Niech ją Bóg prowadzi, ja nie mam dla niej miejsca na mojem poddaszu. Żaden z obrazów, które w tym miesiącu stolica niedzielami tłumnie ogląda, nie dowlókł się za mną w sąsiedztwo wichru wolnego, który mnie tu wita z hal tatrzańskich przywiany. „Giewont" Wyczółkowskiego? Nie. Ani jego ranki, dęby i zachody. A przecie on tym wystawom przoduje...

Nigdy duch nie przyświecał Wyczółkowskiemu, więc i przez jego dzieła nie prześwieca. Jest Wyczółkowski pierwszorzędnym „majstrem", jak to się po malarsku mówi, a o mistrzowstwie jego roztrzyga wspaniała technika i brawura. Swobodny, elegancki, efektowny, czasem — wytworny, nigdy mdły, zawsze tęgi i świeży, rzetelny w ogromie pracy swej i doświadczenia, ale — płytki, bez ducha. Malarze i rysownicy mogą wiele na jego pracach się nauczyć, ale to jest osobny punkt widzenia, dla artystów tylko dostępny, którzy wiedzą, co to jest w sztuce rzemiosło. Dlatego ma Wyczółkowski wielki mir w pracowniach, gdzie o ducha mało kto pyta. A zresztą nie gdzieindziej, jeno tam właśnie nazwano go malarzem „skórnym". Tak sobie, ubocznie, bez chęci dokuczenia, ale djabelsko trafnie, jak to malarze umieją. Mają „oczko", a dowcipem, jak rylcem rytują. Wyczółkowski, istotnie, poza skórę barw, światła, cienia, kształtu, przedmiotu nigdy się nie wgłębia. I teraz, co dał do Zachęty, a pełna go jedna sala, to, chociaż z barw często żywe i gorące, z ducha wszędzie jest chłodne, obojętne. Ani radości, ani cierpienia, tylko... doskonałe manjery. Gdy podziwiałem jego drzewa, dęby, wnętrza lasów, przyszedł mi na myśl Andriolli. Pod względem techniki — daleki, o wiele uboższy i słabszy, a jednak o ileż duchem bogatszy!

Epoka, po której pochyłości kroczymy, a może — pełzamy, także jest ducha pozbawiona. Widnieje to dokoła — w poezji, malarstwie, rzeźbiarstwie, budownictwie. Takie, naprzykład, wierszyki, zwłaszcza panieńskie, których dziesiątki tomów rok rocznie się ukazuje, o kotkach, o bańkach na wodzie, o promykach księżyca, o lalkach na komodzie — ludzie poważni czytają, analizują, syntetyzują, systematyzują, a nawet po nich się obliznują, poezją to nazywają, za objawienie ducha mają, a tam jest tylko trochę rymów pospolitych i zgrabny nosek, co chwila w torebce podręcznej oglądany i pudrowany. Do djabła! Ładna, miła kobieta jest poematem przyrody, ale pocóż mam ją w jej lusterku oglądać! Krytycy w swej galanterji doszli do witryn galanterji. Poczem nie umieją odróżnić ducha od kobiety. To także upadek. A w malarstwie! Taki, naprzykład, „Ryt", który obecnie wystawia się w Salonie Garlińskiego. I tam na czele dwie kobiety, co prawda „róże Syjonu" — z rasy już ducha pozbawione. Ale reszta, męskiego rodu — sama sarmacja: Skoczylasy, Bartłomiejczyki, Wąsowicze. Ani cienia ducha. Mogą ze sztuką swoją po ulicy się szastać, ciastkami ją w kawiarni częstować. Dużo geometrji z Talmudu, która z malarstwa barwnego do „grafiki" (rytownictwa) się przeniosła, jako że tu, w czarno-biały „cycełes" przybrana, przytulniej się czuje. Barwa — to nie żydowska rzecz. Linja — owszem, ale geometryczna. Szarmancka Sarmacja w obecności róż Syjonu nie marudzi i szybko się talmudzi.

Nie lepsza jest pod względem wartości duchowych cała wystawa marcowa Zachęty: „*Pro Arte*", „*Mazovia*", kolekcje W. Piotrowskiego i S. Dybowskiego, nie mówiąc już (znowu!) o kobietach, wysypanych tu z puszki Pandory, oprócz jednej Nadziei (zapewne — Rosjanki), a właśnie tylko w tej możnaby się zakochać i... krytycyzm swój w kretynizm obrócić. Niema Nadziei! Ostrze krytycyzmu, jak język piorunu błądzi po salach Zachęty i pali wszystko na popiół. Wacław Piotrowski? Na stos! „*Pro Arte*"? — zbiorowo na stos! „*Mazovia*"? Drew pod nią! Inni? Nawet ognia nie warci! Gdzie jest duch, gdzie bukiet fijołków? Z latarnią go tu nie znajdzie. Myślę, że Diogenes właśnie ducha poszukiwał wśród ludzi swego czasu, niesłusznie nazwę „człowiek" do wyżyn ducha podnosząc. Człowiek źle czuje się pod ciężarem ducha, dlatego z taką łatwością zagarnęła dziś tłumy sztuka wyłącznie na formie oparta. Pan Człowiek pragnie odpocząć, bodaj — w Paneuropie.

Dokąd atoli prowadzi forma bez ducha, to poza klasycznym judoformizmem, możemy przestudjować na sztuce p. Wacława Piotrowskiego. Błądzi, szuka, probuje, wali głową o mur i ciągle pragnie ducha z formy wydobyć, co jest bez nadziei, bo tylko z ducha można formę wyprowadzić, czego już stworzenie wszechświata w olbrzymiej skali dowiodło. Niechby przynajmniej artysta ten poszedł śladem Wyczółkowskiego w tem znaczeniu, żeby się z losem swoim pogodził i poza skórę rzeczy zaglądać nie usiłował. Ale on filozofuje... Oby sztuki swej nie przefilozofował! Ale czy lepsze są „stare szkoły" z „*Pro Arte*" i z „*Mazovii*"? Tym także ulżyło, bo chociaż cielęcych skór Talmudu nie otwierają, żeby tam w pergaminach, jak w geologicznym zielniku, na skamielinę przy oklaskach Ghetta uschnąć, to jednak usychają na inny ład we własnej skamieniałości. Skamienieli. Urażeni w godności swej — znieruchomieli. Są niewzruszeni i pracowici. Nie uznają natchnienia. Mogą malować osiem godzin dziennie przy każdej pogodzie, codzień, bez względu na zmiany gabinetów i *vota* nieufności. Takie wota bogom swoim ofiarowali i z drogi swego cofania się już się nie cofną.

Nomina sunt odiosa. Nie mogę patrzeć już na te studja przyrody, co to — gdzie kucnął, tam namalował! Ani na małe, otwarcie studjami nazwane, ani na duże, wyrosłe, metrowe studja, udające „obrazy" Ani na te z końmi, ani na te bez koni. Ani z psami, strzelcami, żołnierzami, dziewami ani bez dziew i psów. Wszystko to jest przeraźliwie nudne. W pracowni dobrego malarza studja stosami po kątach wystają i ani im w głowie wędrować na wystawę. Dzisiaj Zachęta stała się wielkim czworobokiem studjów, składem prób, całoroczną wyprzedażą resztek, bazarem „*au bon marché*", w którym, niestety, brak stolików i kawy czarnej z „Expressu", Czy to jednak są studja? Te wypiłowane, wymęczone, wypocone obrazki, korzystając ze swej na 30 cm. małości, ośmielają się nazywać studjami! Studjum — to bezpośredniość, świeżość, pierwsze spojrzenie, zwycięstwo, albo klęska, ale zawsze — szmat pola bitwy! A to z „*Mazovii*"? Co to jest? Jeśli to mają być epizody twórczości artysty, to ładnie twórcę swego demaskują! Bo skoro ta mizerja jest studjum, to można sobie wyobrazić, co za limfa płynie w żyłach artysty w godzinie jego „natchnienia"! Nie! To wszystko jest jednem beznadziejnem kłamstwem! Gdzie duch? Gdzie bukiet fijołków?

Starzy i młodzi — wszyscy się starczo opuścili, pierwsi lirycznie, drudzy — cynicznie. Niema starości, czego najbliższym na wystawie dowodem jest Wyczółkowski. Jest tylko starczość, a na starczość trzeba sobie „po-o-o-zwo-o-o-lić" — lirycznie, albo cynicznie. Napróżno dwa obozy — lewy i prawy, młody i stary, postępowy i konserwatywny, czy jak ich zwał, napróżno sobie się przeciwstawiają, psy i koty na sobie wzajem wieszają. Jedni drugich warci. Oba jeden bezduch łączy. Oba jednako mogą być „do zbiorów państwowych" zakupywane. Należałoby, jak Robak, obu zapaśników łbami o łby potłuc i we dwie strony rozrzucić: *Pax! Pax vobiscum!* Obu sznurami we włosiennicach przed front świątyni sztuki zawlec i obiczować, bo dalej kroku nie ruszą — i słusznie! Tam pod wysokie sklepienia duch tylko może wejść, który raduje się i cierpi, a tworzy w zachwyceniu. Nawet skromny duszek tam wejdzie, jeśli z serca maluje, a nie z palety i duszą swoją nie kupczy. Nawet ten malarz „skórny" ma tam stallę swoją niekupioną, bo z bożych barw i linij skórę sobie uszył. Ale nie oni — gruboskórni, zakłamani biuraliści sztuki.

STANISŁAW PIEŃKOWSKI

OFENSYWA

„PODEJŚCIE"

BROSZURA p. Baczyńskiego o „Prawie Sądu" wykazała nam bardzo wyczerpująco i przekonywająco, że istotnie żadna literatura szanująca się i szanowana, literatura nadobna nie rozrywkowa, krasopisarstwo, piśmiennictwo przeznaczone nietylko dla jednej generacji, a jak dziś jednoroczne (sezonowe), ale reflektujące także na poczytność w potomności — bez kontroli i nadzoru sędziów przysięgłych krytyki egzystować nie może.

Jest to mniej więcej ten sam stosunek, co rządu do parlamentu, skoro nie parlament, ale rząd jest twórczy produktywny, działający, owocujący, stwarzający,..... tylko że dodatnio i pozytywnie... jedynie pod baczną pieczą areopagu ekspertów, cenzorów i uczonych w piśmie, i w rzeczywistości krytyka jest, była i pozostanie jednak sumieniem Sztuki, jak każdej tak i pisarskiej. Sama twórczość często okazuje się nieuświadomioną, często ślepą, naiwną, irracjonalną, błędną i „natchnioną" czy inspirowaną, często elementarną i wulkaniczną, często kapryśną, przekorną i uporną. Wtedy krytyka ingeruje albo łagodnie z perswazją, analizując i argumentując, albo też, jako ten ogrodnik doświadczony, rżnie, co się wlezie, nożyczkami gałęziska zbyt rosochate, pasorzyty, narośla, sęki, jemioły. Grupy najinteligentniejszych nawet konsumentów literatury rzadko zdają sobie sprawę z immanentnych walorów dzieła. Raz imponuje im autorytet, którz spłodził kicz piekielny, raz zahypnotyzuje ich żongler, udający wirtuoza, szarlatan ucharakteryzowany na szamana, bęcwał pozujący na mistrza, kuternoga udający szybkobiegacza. Publiczność jako *summa summarum* pozostaje dożywotnio w stanie nieuleczalnego niemowlęctwa i rozczulającego prostactwa. Zawsze obligatoryjnie i normalnie krytyka dopiero eksplikuje i udowadnia „elicie", że knot jest knotem a nie pochodnią, grafomanja makulaturą, a nie biżuterją. Najwyższą formą świadomości o sztuce pisarskiej jest jednak tylko krytyka, czyby się to genjuszom podobało, czyby talenty miotały się na to, czy nie. Instancji wyższej już niema, oprócz potomności, od tego apelacyjnego trybunału istnieje tylko jedno odwołanie się... do potomności. W hierarchji twórczej krytyka idealna, doskonała, dojrzała, pełna, stoi na stopniu wyższym. Jej prawdziwy rozkwit i supremacja świadczą o arystokratyzmie intelektualnym ery, podatnej do rozkwitu mocnych indywidualności krytycznych.

W dziesięcioleciu, które przeżywamy i twórczość literacka i krytyka utrzymują się w równej wadze, w harmonji (*union sacrée)* bez jakiegoś wzajemnego zwalczania się, dyskredytowania lub wprost wzajemnego negowania; były pewne „krótkie spięcia" między załogą a komendantami, ale po krótkiem ostrzeliwaniu się kryzys nie rozwinął się w chroniczne przesilenie. Dwa roczniki, a raczej dwie generacje krytyków pracują na zmianę w Winnicy Pańskiej produktywnie, celowo, chlubnie i z dużemi moralnemi sukcesami. Ze starszego zaciągu p. p. Lorentowicz, Irzykowski, Dębicki, Jabłonowski, Wasilewski, Wasylewski, z młodszego p. p. Zawodziński, Baczyński, Kozikowski, Birkenmajer, Boy, Eleuter (Iwaszkiewicz), Dąbrowski, Czarnowski, no i przedewszystkiem Skiwski.

Otóż teraz do tych panów pewna prośba *alias* propozycja. Chodzi o wyrzucenie słowa: „p o d e j ś c i e", wyrzucenie przez okna na śmietniki. Od niejakiego czasu wkradło się to obrzydliwe słówko do djalektyki krytycznej i grasuje w niej bezkarnie rozpychając się łokciami i depcąc innem słowom po piętach. Wszędobylskie jest, aroganckie, nahalne i zarozumiałe. Gdzie ruszyć, tam się je spotyka: „Emil Ludwig p o d c h o d z i do Chrystusa od strony człowieczeństwa". „Boy-Żeleński p o d c h o d z i do Mickiewicza od strony ludzkiej, arcyludzkiej"... „Pomirowski p o d c h o d z i do Zegadłowicza od mistyki ludowej" i t. p. i t. d. Jest w tem p o d c h o d z e n i u coś obrzydliwego, postępnego, lisiego, podkradającego, przypomina p o d e j ś c i a i p o d c h o d y. Zarazem bardzo charakterystyczne dla ery politycznej, którą przeżywamy. To słowo żywcem przeszło do frazeologji krytycznej z II-giego oddziału, z Defensywy oraz od tych, co nas „zarażają patrjotyzmem", chcą „łamać kości", a którym jest „byczo" przy ich „radosnej twórczości". Równocześnie ostatnio zyskały wśród organizatorów opinji estetycznej prawo obywatelstwa i inne słowa nowe, „modne", aktualne, jak zasiąg, płaszczyzna, odcinek, nastawienie, naświetlać, ujęcie, chwyty i t. p. ale o ile one mniej rażą i drażnią (nawet u j ę c i a i c h w y t y), o tyle posiłkowanie się takiem i n w i g i l a c y j n e m słowem, rezonansującem zbyt natrętnie erę stacyj podsłuchowych, szpiegowań, szpiclów, podkopów, ochranników, opryczników, funduszów gadzinowych i t. p... jest na serjo nie do zniesienia. Uznajemy autorytet, misję i wagę takiego współczynnika badawczego i poznawczego Sztuki pisarskiej, jak krytyka, korzymy się przed jej najsubjektywniejszymi definicjami, wyrokami, „sprawdzianami", metodami, gotowi nawet jesteśmy uznać w krytyce nadbudowę, kopułę, koronę kunsztu pisarskiego, ale jednak domagalibyśmy się tego jednego ustępstwa, drobnego, werbalnego ustępstwą to jest: wykreślenia słowa brzydkiego z inwentarza, powiedzmy sobie ze skarbca djalektyki krytycznej. Zostawcie już sobie te „chwyty", ale na Boga oddajcie Defensywie z powrotem jej „podejścia" i „podchody"...

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Wśród huku 19 salw amatnich urzędowe biuro prasowe „Iskra" ogłosiło w dn. 19 marca słowa solenizanta, ministra spraw wojskowych, obecnie w dymisji, wśród których są takie:

„Przypuszczałem, że znajdę w Polsce, gdzie jakoby honor stoi wysoko, jakiś odruch niweczący to niecne dzieło p. Trąmpczyńskiego. Osobiście widziałem ludzi, którzy mnie prosili o pozwolenie jako swego Wodza zastrzelenia kilku panów, pomiędzy innymi i pana Trąmpczyńskiego i którzy, gdym im tego odmówił, szukali śmierci samobójczej. Niestety — tego s p o d z i e w a n e g o o d r u c h u nie znalazłem".

A w innem miejscu:

„Kiedy byłem małym chłopcem, sądziłem naiwnie, że niema granic dla tego, co mogę na sobie wymóc... Jednak i wtedy cofałem się przed niektóremi rzeczami. Zwykłem cofaniem się była samokrytyka, że jednak pewnych rzeczy na sobie wymódz nie potrafię. I wtedy z a w s z e s t a w i a ł e m p r z e d s o b ą t a l e r z z e k s k r e m e n t a m i, twierdząc: więc spróbuj. Ta próba dziecinnej prawdy gdy dziecko rosło w wielkość, powracała mi często"... BB i wogóle „sanacja", jak widzimy, dobrą ma szkołę. Naogół jednak zdarzenia publiczne tego rodzaju, leżą poza kresem możliwości publicystycznego komentowania. Są bez marginesu.

*

Uroczystości imienin ministra Piłsudskiego w Krakowie trwały trzy dni. W poniedziałek — jak głosi komunikat „Czasu" — pod pomnikiem Grunwaldzkim odbyła się odprawa hufca kolejowego przysposobienia wojskowego, który wziąć miał udział w marszu: Sulejówek—Belweder. „Czas" wymienia przedstawicieli władz, opisuje ceremonjał, gdzie czytamy: „Gdy orkiestra kolejowa ustawiona opodal zagrała „Pierwszą Brygadę", o b e c n i o d k r y l i g ł o w y. Krakowianie nasłuchali się tego marsza za czasów austrjackich, ale nie odkrywali wtedy głów. Teraz jest to hymn narodowy.

*

Kiedy p. Bartel wygłosił w Senacie gwałtowną mowę o posłach jako ludziach niefachowych, zaczęto w kuluarach parlamentu rozprawiać o fachowości ministrów pomajowych. — O przepraszam — ujął się za jednym z nich pewien poseł. — On ukończył pięć klas... loterji państwowej i był na akademji ku czci marszałka Piłsudskiego!

*

Hasłem twórczości BB i walki parlamentarnej jest nagła potrzeba zreformowania konstytucji w kierunku nadania Prezydentowi Rzplitej większej swobody działania. Dużo się przytem mówi o „nadrzędności" i t. p. Wśród tej walki upadł w Sejmie gabinet Co było dalej, wiemy z komunikatu Rady ministrów: Pan Prezydent Rzplitej wyraził zdziwienie, że Sejm spowodował przesilenie przed uchwaleniem budżetu— i zasięgnął rady u ministra spr. wojsk. Piłsudskiego, „jako u osoby, mającej najdłuższe doświadczenie w kierownictwie sprawami państwowemi". Sanacyjny „Czas" wyjaśnienia że ten ostatni zwrot oznacza, iż Prezydent złożył sprawę przesilenia w ręce członka tegoż gabinetu, ministra Piłsudskiego. Było to w piątek i tak trwało bez wieści do godz. 9 wieczorem w poniedziałek następnego tygodnia, przy wzrastającem zdziwieniu całego kraju. Po dekrecie przyjmującym dymisję nazajutrz formowanie gabinetu powierzono... p. Szymańskiemu.

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Marszałkowska 153, tel. 25-45. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17, 2-gie piętro. Tel 12-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45. Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. Koop Prac. Drukarskich. Tel. 19-57, Zielna 47 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM